NOWA KONFEDERACJA
INTERNETOWY MIESIĘCZNIK IDEI
nr 5 (71)/2016
4 maja—31 maja
cena: 0 zł

Do pracy rodacy!

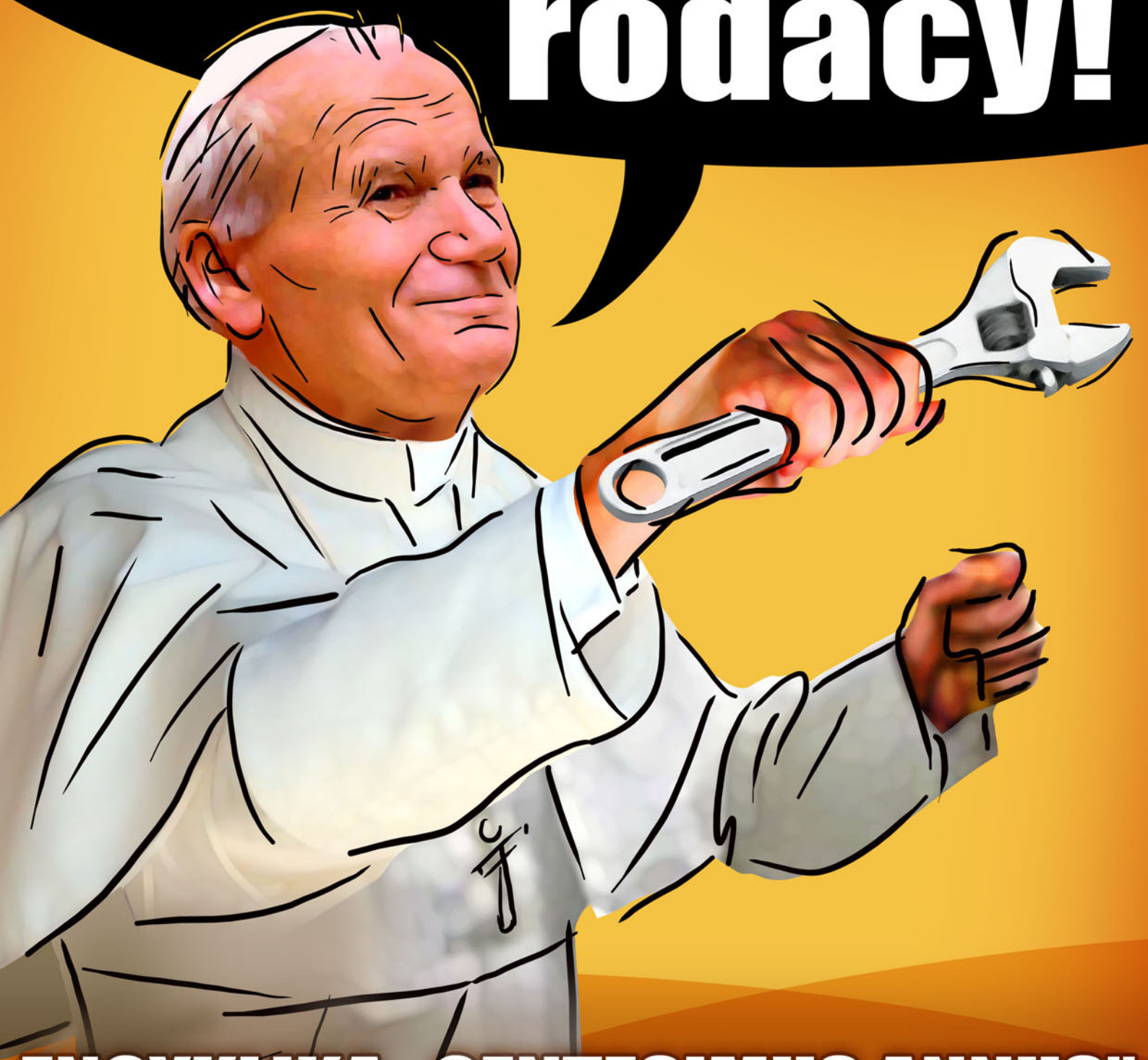

ENCYKLIKA „CENTESIMUS ANNUS” WCIĄŻ AKTUALNA PO 25 LATACH

W numerze:

Kremówki dla wszystkich
Stefan Sękowski 3
Projekt praca
Z Rafałem Towalskim rozmawia Anna Kiljan 8
Związki zawodowe: nowe otwarcie
Piotr Trudnowski 13
Nauczyć się wolności
Z Krzysztofem Nędzyńskim rozmawia Aleksandra Rybińska 19
Witajcie w skansenie
Tomasz Pułról 25
Jeśli nie think tanki, to kto?
Rafał Matyja 30
Lokalizm według Koraba-Karpowicza
Michał Kuź 35
Nieprzyczajony tygrys, nieukryty smok
Paweł Behrendt 40
Niemiecka demografia szansą dla Polski
Mateusz Łakomy 46
Nie-Boska Liturgia
Krzysztof Wołodźko 51

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kremówki dla wszystkich

Stefan Sękowski
Redaktor „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

W „Centesimus Annus” Jan Paweł II ukazał przyczynę upadku komunizmu w pogwałceniu praw ludzi pracy. Czy doprowadzi ono do upadku kapitalizmu?

27 lat po upadku „komuny” coraz więcej ludzi uważa, że coś poszło nie tak. W 2015 roku do władzy w Polsce doszedł PiS – pod hasłami rewizji polityki III RP. Także gospodarczej i społecznej, krytykując brak polityki rodzinnej i patologie na rynku pracy. Coraz więcej osób uważa, że modelu, którego symbolem są reformy Leszka Balcerowicza z początku lat 90. XX wieku, nie da się utrzymać.

Choć krytyka transformacji jest często przesadzona (mimo wszystko los i możliwości większości Polaków są o niebo lepsze niż przed rokiem 1989), a źródeł jej błędów szuka się często nie tam, gdzie trzeba, to trzeba powiedzieć, że popełniono ich całą masę. Nie popełniono by ich, być może, gdyby zamiast jedynie krzyczeć: „kochamy Cię” i „zostań z Nami”, Polacy wczytali się w to, co ma im do powiedzenia Jan Paweł II. Papież, który przestrzegał przed złym korzystaniem z wolności, gdy 25 lat temu, w święto Józefa Rzemieślnika, czy, jak kto woli, Międzynarodowy Dzień Solidarności Ludzi Pracy, ogłosił encyklikę „Centesimus Annus”.

Ulubiona encyklika liberałów

Błąd w recepcji popełniono już na początku, traktując ją jako apologię kapitalizmu. Rzeczywiście dokument uchodzi za najbardziej wolnorynkową encyklikę Jana Pawła II. Niektórzy interpretatorzy szli w swych dywagacjach bardzo daleko – przykładowo Tomasz Teluk kilka lat temu stwierdzał na łamach „Najwyższego Czasu!”, iż „funkcje rządu w myśli Jana Pawła II są zbieżne z funkcjami państwa, znanymi z filozofii politycznej libertarianizmu. Podobnie jak wolnorynkowi liberałowie, Papież jedyne funkcje państwa upatruje w instytucjonalnym zabezpieczeniu wolności i własności jednostki”.

Taka opinia jest mocno na wyrost, jednak stoją za nią pewne przesłanki. Następca św. Piotra nie pozostawia wątpliwości: Marks umarł, a system gospodarczy zbudowany na bazie jego nauk także. Komunizm odszedł w przeszłość, bo zbudowano go na fałszywej wizji człowieka. Nie zauważał, że człowiek, jako osoba, ma swoją godność i że celem jego życia jest

Zbawienie. Gwałcił jego prawo do autonomicznego rozwoju, „do inicjatywy, do własności i do wolności w dziedzinie ekonomicznej". Jan Paweł II wskazywał, że prawo do własności prywatnej jest prawem naturalnym, którego „Kościół nieustannie bronił aż po dzień dzisiejszy". Mimo zastrzeżenia, że dobra ziemskie mają przynosić wspólny pożytek, katolicka obrona własności prywatnej jest bezdyskusyjna – podobnie jak obrona mechanizmu cenowego, pomagającego efektywnie alokować dobra. Papież krytykuje także przerost państwa opiekuńczego, które „powoduje utratę ludzkich energii i przesadny wzrost publicznych struktur, w których – przy ogromnych kosztach – raczej dominuje logika biurokratyczna, aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom".

> **Mimo zastrzeżenia, że dobra ziemskie mają przynosić wspólny pożytek, katolicka obrona własności prywatnej jest bezdyskusyjna**

Żadnych wątpliwości nie pozostawia gwóźdź programu: „Czy można powiedzieć, że klęska komunizmu oznacza zwycięstwo kapitalizmu jako systemu społecznego i że ku niemu winny zmierzać Kraje, które podejmują dzieło przebudowy gospodarczej i społecznej? (…) Jeśli mianem »kapitalizmu« określa się system ekonomiczny, który uznaje zasadniczą i pozytywną rolę przedsiębiorstwa, rynku, własności prywatnej i wynikającej z niej odpowiedzialności za środki produkcji oraz wolnej ludzkiej inicjatywy w dziedzinie gospodarczej, na postawione wyżej pytanie należy z pewnością odpowiedzieć twierdząco, choć może trafniejsze byłoby tu wyrażenie ekonomia przedsiębiorczości, ekonomia rynku czy po prostu wolna ekonomia".

Granice rynku

Zbyt często zapomina się jednak o kolejnym zdaniu, mówiącym, że „jeśli przez »kapitalizm« rozumie się system, w którym wolność gospodarcza nie jest ujęta w ramy systemu prawnego, wprzęgającego ją w służbę integralnej wolności ludzkiej i traktującego jako szczególny wymiar tejże wolności, która ma przede wszystkim charakter etyczny i religijny, to wówczas odpowiedź jest zdecydowanie przecząca". Propozycji ograniczeń rynku w CA nie jest wcale tak mało, jak tego by chcieli chrześcijańscy libertarianie. Państwo ma porządkować relacje między przedsiębiorcami a pracownikami. „Potrzeba (…) nieustannej czujności i odpowiednich praw, by wyeliminować haniebne zjawiska wyzysku, przede wszystkim względem pracowników najsłabszych, imigrantów czy żyjących na marginesie społecznym" – pisze JPII. Ważną rolę w tej dziedzinie grają związki zawodowe. Dbają o realizację podstawowych warunków, takich jak „respektowanie »ludzkiego« czasu pracy i odpoczynku, a także prawa do wyrażania własnej osobowości w miejscu pracy" czy o odpowiednią, „sprawiedliwą" płacę, która musi brać pod uwagę konieczność zapewnienia bytu także rodzinie pracownika. Państwo ma też walczyć z monopolami, dbać o ochronę środowiska naturalnego, wspierać rodziny, choć jednocześnie osoba nie może dusić się między rynkiem a państwem. Jak pisze Jan Paweł II, niestety „niekiedy wydaje się,

jakoby istniała ona jedynie jako wytwórca i nabywca towarów, czy też jako przedmiot administracji państwowej i zapomina się, że ani rynek, ani Państwo nie są celem międzyludzkiego współżycia, bowiem ono samo w sobie posiada szczególną wartość, której Państwo i rynek mają służyć". Jeśli więc porównywać myśl JPII do którejkolwiek doktryny, to nie do libertarianizmu, jak chciał tego Teluk, a prędzej do ordoliberalizmu.

Praca jest najważniejsza

„Centesimus Annus" jest nie tylko peanem na cześć wolności, ale przede wszystkim ostrzeżeniem przed jej złym wykorzystaniem, zwłaszcza przez kraje, które „po załamaniu się socjalizmu realnego napotykają na wielkie trudności w dziedzinie odbudowy". Do tego nawiązywał Jan Paweł II, gdy 5 czerwca 1991 roku, głosząc w Białymstoku kazanie nt. siódmego przykazania Dekalogu („Nie kradnij"), w kontekście którego wyrażał radość z upadku komunizmu. Wspominał, że w reformowaniu gospodarki muszą być przestrzegane zasady sprawiedliwości, należy dbać o interes społeczny, o najuboższych i najbardziej potrzebujących. Parafrazując hasło Ludwiga Erharda („dobrobyt dla wszystkich") można streścić program Jana Pawła II jako „kremówki dla wszystkich" – czyli dążenie do wolnej, i dzięki temu efektywnej, gospodarki, w której jednocześnie nikt nie opycha się kosztem drugiego, silni zaś ciągną słabych w górę.

Zdaniem JPII decydującym czynnikiem, doprowadzającym do upadku komunizmu, było pogwałcenie praw pracy, czego symbolem było to, że przemiany rozpoczęły się od protestów robotników w 1980 roku w Polsce. Nic dziwnego: wspólnym mianownikiem większości papieskich encyklik jest właśnie praca – począwszy od „Rerum novarum" Leona XIII, noszącej podtytuł „o kwestii robotniczej". W swojej pierwszej encyklice społecznej z 1981 roku, „Laborem exercens", czyli „Wykonując pracę", JPII pisze, że „praca ludzka *stanowi klucz*, i to chyba *najistotniejszy* klucz, *do całej kwestii społecznej*".

Niestety, realizacja wskazań zawartych w CA nie wygląda najlepiej. W myśli papieża o odpowiednie warunki pracy w pierwszej kolejności ma dbać rynek i funkcjonujące na nim firmy, zapewniające miejsca pracy – dopiero, gdy to nie funkcjonuje, według zasady pomocniczości, na arenę ma wkraczać państwo. Z tym jest do dziś u nas krucho. Poziom bezrobocia w Polsce w wysokości 10% jest zdecydowanie niezadowalający, w wielu częściach kraju występuje strukturalne i dziedziczone bezrobocie. Długo można rozwodzić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, jednak efekt jest taki, że także z tego powodu (innym jest wysokie opodatkowanie pracy, w przeciwieństwie do kapitału) Polska jest krajem niskich płac: przedsiębiorcy mogą pozwolić sobie na to, by nie płacić pracownikom zbyt wysokich pensji.

To powoduje, że często trudno mówić o istnieniu „sprawiedliwej płacy". Winę za to ponosi zarówno państwowy fiskalizm, jak i chęć uniknięcia przez przedsiębiorców wysokich wydatków na płace. Chęć ta jest naturalna, trzeba jednak pamiętać, że wykorzystywanie uprzywilejowanej pozycji przez pracodawców prowadzi do zubożenia społeczeństwa. Odbija się także na jakości pracy samych zatrudnionych – w tym momencie zresztą dochodzimy do innego problematycznego punktu, mianowicie niskiej kultury zarządzania w wielu, zwłaszcza mniejszych przedsiębiorstwach.

Tam wciąż pokutuje paternalistyczny, „folwarczny" system zarządzania ludźmi. „Zarządzanie przez strach" wiąże się także z prekaryzacją stosunków pracy, w ramach której nie ma się nawet (często zresztą złudnego) poczucia stałości zatrudnienia, co w powiązaniu z brakiem umiejętności samodzielnego zadbania o własny los (przy odpowiednich zarobkach brutto nikt nikomu nie broni dobrowolnie się ubezpieczać zdrowotnie, także w NFZ, czy odkładać na emeryturę nie płacąc składki emerytalnej – różnica polega na tym, że robimy to sami, a nie za pośrednictwem firmy, która nas zatrudnia) powoduje lęk przed nagłym spadkiem poziomu życia.

> **Propozycji ograniczeń rynku w CA nie jest wcale tak mało, jak tego by chcieli chrześcijańscy libertarianie. Państwo ma porządkować relacje między przedsiębiorcami a pracownikami**

Temu wszystkiemu nie potrafią zapobiegać związki zawodowe, które grają w gospodarce rolę marginalną. Działają one głównie w dużych, państwowych lub sprywatyzowanych przedsiębiorstwach, gdzie pracownicy cieszą się dużymi przywilejami i nierzadko utrudniają konieczne procesy restrukturyzacyjne. Z kolei tam, gdzie dochodzi do największych patologii, czyli w mniejszych przedsiębiorstwach, często nie mogą nawet powstać ze względu na szykany ze strony pracodawców.

Rodacy, do pracy – bo przyjdzie lewica

Ta sytuacja wywołuje spory sprzeciw. Jak pisze Michał Barcikowski w artykule „Sprawiedliwość społeczna, czyli o osłabianiu zaufania do religii Jezusa Chrystusa" w 62 nr „Christianitas", grozi nam „niebezpieczeństwo polegające na tym, że na słuszne postulaty budowy bardziej sprawiedliwego społeczeństwa odpowiedzą, wobec milczenia katolickich [to pojęcie możemy swobodnie zastąpić pojęciem „nielewicowych" – przyp. red.] polityków, neokomuniści w rodzaju naszej Partii Razem czy greckiej Syrizy". Abstrahując od tego, czy użycie pojęcia „neokomuniści" jest tu zasadne, zaniedbanie tematyki pracy grozi poważnym dryfem w lewo, także pod względem gospodarczym.

Nie oznacza to oczywiście, że należy przejmować recepty suflowane przez Jeszcze Nowszą Lewicę, po to tylko, żeby to ona ich nie realizowała, tylko ktoś inny. Chodzi o to, by mądrze zauważać „znaki czasu" i na nie reagować. A nie jest to wcale proste, bo łatwo popaść w traktowanie tych postulatów w kategoriach abstrakcyjnych praw przyrodzonych, których realizacją powinno zająć się państwo, i to bez względu na koszty. Trudno oczekiwać, by pracodawca płacił pracownikowi więcej tylko dlatego, że ten ma dzieci. Jako pewną próbę wyjścia z tego problemu można potraktować szeroko rozumianą politykę (pro)rodzinną, w ramach której koszt wyrównania sprawiedliwej płacy – gdy pracownik nie jest w stanie sam własną produktywnością jej wypracować – ponosi społeczeństwo, otaczające opieką najsłabszych. W tej logice mieści się program 500+, choć objęcie nim wszystkich rodziców powoduje niepotrzebne wydatki na tych, którzy sami potrafią wypracować

odpowiednie środki. Mniej spektakularnym, ale i mniej rozrzutnym i bardziej celowym, sposobem na zapewnienie „sprawiedliwej płacy" byłaby np. realizacja zaproponowanego przez Kukiz'15 ujemnego podatku dochodowego dla rodziców.

Świat się zmienia

Nierzadko ignoruje się to, że żyjemy już w innych realiach, niż 20 czy 30 lat temu, na co dobrym przykładem jest chęć prostego powrotu do poprzedniego wieku emerytalnego, pomimo tego, że żyjemy coraz dłużej. Nie chcę przez to powiedzieć, że utrzymanie status quo w tej dziedzinie jest dobrym rozwiązaniem – wręcz przeciwnie, cały nasz system emerytalny nie przystaje do współczesności, a przykładowa „antyśmieciówkowa" krucjata, prowadzona zarówno pod koniec rządów koalicji PO-PSL, jak i przez obecną ekipę, wygląda bardziej na nieumiejętność poradzenia sobie z tym problemem i konieczność łatania dziur w FUS, niż chęć wzięcia licznych prekariuszy pod skrzydła umów o pracę. Przestarzały kodeks pracy nie bierze pod uwagę tego, że charakter wielu obowiązków wyklucza pracę na zasadzie „stąd do szesnastej"; utrudnia także mobilność między miejscami zatrudnienia i szybkie reagowanie na zapotrzebowanie na pracowników przez pracodawców.

W odnalezieniu się w nowej sytuacji może nam pomóc właśnie Jan Paweł II i jego „Centesimus Annus". Oczywiście nie w kategorii podręcznika ekonomii politycznej czy programu społeczno-gospodarczego, ale zbioru etycznych wskazówek (uporządkowanych w ramach pewnej antropologicznej wizji). Gdy przykładowo czytamy, że państwo powinno angażować się na rzecz warunków pracy „bezpośrednio i zgodnie z zasadą solidarności, ustalając w obronie słabszego pewne ograniczenia autonomii tych, którzy ustalają warunki pracy, a w każdym przypadku zapewniając minimum środków utrzymania pracownikowi bezrobotnemu", to możemy z tego wysnuć wniosek, że podniesionego wyżej problemu nie załatwi zwykła likwidacja umów o pracę – bo skutkować to będzie drastycznym spadkiem siły przetargowej pracowników. Bliższe byłoby temu np. wprowadzenie dostosowanego do polskich realiów i możliwości modelu *flexicurity*, które z jednej strony ułatwiłoby pracodawcom zwalnianie pracowników, z drugiej zapewniło zwolnionym bezpieczeństwo socjalne na czas poszukiwania nowej pracy. Wielkim wyzwaniem jest technicyzacja i spadek udziału pracy w produkcji, co powoduje z kolei zrozumiały spadek płac. Jan Paweł II mówi w kontekście tego, że „ludzie pracy mają prawo zabiegać (...) o szerszy zakres udziału w życiu przedsiębiorstwa, tak, by nawet pracując razem z innymi i pod kierunkiem innych, mogli w pewnym sensie »pracować na swoim« używając swej inteligencji i wolności" – ciekawym rozwiązaniem tego problemu mogą być eksperymenty z uwłaszczaniem pracowników w ramach propozycji Louisa Kelso. Warto, by 25 lat po publikacji „Centesimus Annus" sięgnęli po nią np. minister Elżbieta Rafalska, rynkowi posłowie Kukiz'15, czy działacze Partii Razem.

Projekt praca

Z Rafałem Towalskim rozmawia Anna Kiljan

Rafał Towalski
Doktor nauk ekonomicznych,
specjalista w dziedzinie socjologii gospodarki

Odchodzimy od tradycyjnych wzorców w zarządzaniu. Rozróżnienie między stylem autokratycznym a demokratycznym jest coraz mniej istotne

Bycie z szefem na „ty" i luźne stosunki w pracy to znak nowej jakości w zarządzaniu przedsiębiorstwem? Ścisła kontrola pracowników odchodzi w niepamięć?

To jest złożona kwestia. Trudno powiedzieć, który model jest lepszy i zasługuje na miano „nowej jakości". Jest to uzależnione od formy działalności przedsiębiorstwa, kultury organizacyjnej, kręgu kulturowego. Są jednak pewne generalne trendy. Wydaje się, że globalizacja prowadzi do zakorzenienia się modelu zrównoważonego (tzw. *sustainability*), rozumianego jako ciągłe uczenie się, adaptacja, rozwój i reorientacja przedsiębiorstwa.

Ma to związek z tym, że w tej chwili mamy do czynienia z pracownikiem bardzo dobrze zorientowanym w nowoczesnych technologiach informacyjnych, niekoniecznie nastawionym na kulturę plemienną w firmie, który raczej afiliuje się gdzie indziej – nie w miejscu pracy, tylko na przykład w sieci. Taki pracownik raczej chce pokonywać nowe etapy, uczyć się nowych sposobów realizacji zadań. Nie zależy mu na więzi z pracodawcą. On myśli w kategoriach projektowych.

To znaczy, że model koleżeński też odchodzi w niepamięć?

Zaoferowanie takim pracownikom koleżeństwa może po prostu już nic nie dawać, oni po prostu nie szukają koleżeństwa w miejscu pracy. Jeśli mowa o świecie dużych korporacji, z dużym kapitałem kulturalnym, to rzeczywiście potrzeba afiliacji jest coraz niższa. Tam króluje model samorealizacji. Pracownicy realizują „projekt ja".

Gospodarka oparta na wiedzy wymaga nowego podejścia do pracownika? Z badań Deloitte pt. „Liderzy przyszłości" wynika, że kolejne pokolenia pracowników będą potrzebowały zupełnie

innego podejścia pracodawców. Jak rynek sobie z tym poradzi?

Obecnie na rynku pracy „zaklęciem" jest myślenie w kategoriach projektu. To ma miejsce nawet na uczelniach. Wszyscy działamy w takim trybie. „Projekt" – to jest słowo klucz, również w sensie zarządzania firmą. Teraz menadżerowie zatrudniają się w firmach od projektu do projektu, nie zostają w nich dłużej. Trudno w ogóle mówić o jakimś jednym modelu zarządzania. Rynek zmienia się niezwykle dynamicznie i nie da się już nawet do końca mówić o trendach. Cały czas poszukuje się nowych metod.

Czyli nie ma żadnej ogólnej metody zarządzania pracownikami?

Trudno rzeczywiście określić jakikolwiek model, bo jest bardzo dużo zmiennych. To, co można powiedzieć na pewno, to fakt, że menadżer musi się koniecznie nauczyć zarządzania w środowisku wielokulturowym. Import i eksport kultur to obecnie zjawisko kluczowe w zarządzaniu. Mówi się też, że współczesne zarządzanie musi się opierać na czterech filarach: wiedza, innowacja, reputacja i zaufanie. To są czynniki, które decydują o przewadze konkurencyjnej. Rozróżnienie między stylem autokratycznym a demokratycznym jest coraz mniej istotne. Odchodzimy od tradycyjnych wzorów. Kluczowa jest innowacyjność, ale nie tylko w znaczeniu technologii. Chodzi też o umiejętność zarządzania wiedzą, czyli wykorzystywanie potencjału pracowników.

A jaki model zarządzania przedsiębiorstwem dominuje w Polsce? Czy wciąż króluje u nas styl „folwarczny"? Jak to się ma do reszty świata?

Zanim odpowiem na pytanie o tę „folwarczność", warto skrótowo nakreślić ramy działalności polskich firm. Chociażby w oparciu o wielkość przedsiębiorstwa. 37% polskich pracowników jest w firmach zatrudniających do 9 osób, 30% to z kolei pracownicy firm zatrudniających powyżej 200 pracowników.

Kulturę folwarczną charakteryzuje brak umów, brak negocjacji z pracownikami, przymus, pełnia władzy nad pracownikiem, styl kierowania opresyjno-autorytarny, nacechowany zmiennością emocjonalną, zależną od nastroju kierownika. To jest jakiś koszmar

Zacznijmy od tych dużych.

Kulturę folwarczną charakteryzuje brak umów, brak negocjacji z pracownikami, przymus, pełnia władzy nad pracownikiem, styl kierowania opresyjno-autorytarny, nacechowany zmiennością emocjonalną, zależną od nastroju kierownika. To jest jakiś koszmar. We współczesnym świecie, przy tak silnej konkurencji, moim zdaniem ten model nie może się sprawdzić. Na kulturze folwarcznej nie da się budować konkurencyjności przedsiębiorstwa. Folwarczność nie pasuje do dużych firm,

tam zarządza się wiedzą, wykorzystuje potencjał pracownika. Innowacyjność nie może przecież w ogóle zaistnieć w warunkach przymusu i opresyjności.

Czyli polska kultura zarządzania dużymi przedsiębiorstwami zasadniczo nie różni się od kultury zachodniej?

Trochę się jeszcze różni, ale naprawdę w coraz mniejszym stopniu. Wzorce importujemy przecież z Zachodu, stamtąd przywozimy kapitał kulturowy. Zmieniamy się, menadżerowie i pracownicy uczą się za granicą, do tego mamy 26 tysięcy dużych zagranicznych firm w Polsce. To ma ogromny wpływ.

A jak w nowoczesnym zarządzaniu odnajdują się polskie małe i średnie przedsiębiorstwa?

To jest niezwykle zróżnicowana grupa. Bardzo mocno upraszczając, można tu spotkać i folwark i zarządzanie międzykulturowe i „zarządzanie 2.0", nastawione na ciągłe przekształcenia.

Tu nie da się mówić o dominacji jakiegokolwiek modelu. Na pewno tam, gdzie mamy do czynienia z pracownikami o wysokim kapitale kulturowym, nie może być zarządzania w oparciu o metody folwarczne.

Czyli branża nowych technologii to branża zarządzana bardziej demokratycznie?

Można tak powiedzieć. Trudno sobie wyobrazić opresyjne metody zarządzania w miejscach, gdzie dominują pracownicy o bardzo wysokich kwalifikacjach. Natomiast w firmach zatrudniających pracowników o niskim kapitale intelektualnym, tam gdzie wiedza nie jest szczególnie istotna, można budować inny model. Potrzebna jest wspólnotowość. Tam pracownicy poszukują opieki pracodawcy i prestiżu przełożonego, a pracodawcy oczekują posłuszeństwa i sprawują ścisłą kontrolę.

Elastyczne warunki pracy to u nas norma? Umowy cywilno-prawne i inne elastyczne formy zatrudnienia to krok w dobrym kierunku? Coraz więcej się mówi o prekariacie i braku stabilności. To nie niszczy rynku?

Tych elastycznych form jest bardzo wiele. To może być praca w niepełnym wymiarze godzin. Z takiego modelu korzysta 9% polskich pracowników. I to jest dobre rozwiązanie dla wszystkich, ale tylko pod warunkiem, że wynagrodzenia są wysokie. Drugi typ to praca na czas określony (dotyczy 30% pracowników w Polsce i jest to jeden z najwyższych wskaźników w UE). Ten model jest poddawany silnej krytyce. Dla pracodawcy to jest oczywiście świetne rozwiązanie, bo jest dla niego gwarantem bezpieczeństwa, braku zobowiązań. Pozwala działać elastycznie i zmieniać się razem z rynkiem. Dla pracownika brakuje tutaj bezpieczeństwa.

Jeszcze inna formuła to zatrudnienie tymczasowe. Tu można mówić właśnie o prekariacie narażonym na ciągłe zmiany miejsca i charakterystyki pracy. Rzeczywiście, rośnie armia ludzi, którzy wypadają z rynku pracy i łapią się chwilowych zatrudnień. A pracodawcom jest to na rękę, więc ta kategoria niestety rośnie.

Należy zaznaczyć, że budowanie poczucia niepewności to nie jest dobra metoda motywowania pracownika. A rzeczywistość jest taka, że ludzie teraz nie wiedzą, co będą robili za rok. Nawet na

uczelniach pracownicy działają pod wielką presją. Muszą pracować z dnia na dzień, nie mogą nic zaplanować, bo co roku muszą podchodzić do konkursu, który decyduje, czy w ogóle będą mogli zachować pracę.

A jakie pracownik ma korzyści z elastycznych form zatrudnienia?

Raczej niewielkie, zwłaszcza jeśli chodzi o pracowników starszych. Z punktu widzenia globalnego, takie formy zmuszają do ciągłej pracy nad sobą, ale tak naprawdę, to jest po prostu zarządzanie przez strach. Ciągła obawa przed utratą dochodu z jednej strony powoduje pogoń za rozwojem osobistym, ale z drugiej bardzo niekorzystnie wpływa na psychikę pracownika.

Dlaczego w Polsce praca z domu i telepraca to wciąż margines? Przecież to wygodne dla wszystkich.

Lewiatan ostatnio robił badanie na ten temat. Okazało się, że taka forma dotyczy około 3% pracowników w Polsce. Praca poza firmą to jest kolejne wyzwanie, z którym musimy się zmierzyć. Przy tak nowoczesnych technologiach, praca w biurze jest coraz mniej potrzebna. To oznacza oszczędność dla pracodawcy i pracownika. Dlatego ten sektor będzie rósł. Trzeba jednak pamiętać, że taka praca to też duże pułapki. Wymaga znacznie większej samodyscypliny. Jest dobra tylko w niektórych sytuacjach.

Coraz więcej pracodawców mówi, że w związku z niżem demograficznym i zmianą kompetencji pracowników, to oni muszą się wysilać i dostosowywać do potrzeb młodych pracowników. To jest przesada w drugą stronę! Jest rzeczywiście niewielki wycinek rynku pracy, w którym takie sytuacje występują, ale to wynika z samoświadomości pracowników, a nie ze starzenia się społeczeństwa. Przecież postęp technologiczny powoduje likwidację miejsc pracy. Wcale nie jest tak, że brakuje pracowników.

> **Budowanie poczucia niepewności to nie jest dobra metoda motywowania pracownika. Ludzie teraz nie wiedzą, co będą robili za rok. Nawet na uczelniach pracownicy działają pod wielką presją**

Oczywiście, prawdą jest, że nie da się zastraszyć cennych pracowników, posiadających ogromną wiedzę. Nowe pokolenie raczej nie będzie ulegało strachowi. To prawda, że się starzejemy i mamy niż, ale to nie spowodowało przekształcenia rynku pracy pracodawcy w rynek pracy pracowników. Nie mamy teraz do czynienia z takim modelem.

Pracodawcy narzekają na kodeks pracy, starają się obchodzić te zasady, np. zamiast pracowników zatrudniać na etat wymuszają zakładanie własnej działalności. Czy polski kodeks pracy już nie odpowiada realiom obecnego rynku?

Chyba już dawno powinien zostać zmieniony! On podlegał dziesiątkom noweli-

zacji, doprowadzających do sytuacji, w której nikt go nie rozumie i każdy obawia się, że łamie prawo.

Kodeks wymaga dopasowania do nowych realiów. Obecnie mamy prawniczego „Gargamela", z wieloma dziwnymi elementami, które nie pasują do siebie nawzajem. Jeden z największych problemów dotyczy samozatrudnionych, którzy choć nie świadczą pracy podporządkowanej, to są przecież zależni ekonomicznie od jednego podmiotu. Takie sprawy trzeba rozwiązać.

Potrzeba bardzo szerokich konsultacji społecznych – pracodawców, pracowników, związków zawodowych i innych środowisk. I albo napiszemy prawo na tyle ogólne, że będzie aplikowalne w różnych, ciągle zmieniających się okolicznościach, albo napiszemy bardzo szczegółowy kodeks z aspiracjami do uporządkowania wszystkich możliwych modeli. Pierwsze rozwiązanie wymaga wielkiej otwartości, uczciwość i zaufania pomiędzy stronami pracodawca-pracownik, a drugie jest chyba po prostu niemożliwe.

Anna Kiljan
Redaktor „Nowej Konfederacji"

Związki zawodowe: nowe otwarcie

Piotr Trudnowski
Redaktor „Nowej Konfederacji”,
członek zarządu Klubu Jagiellońskiego

Związki zawodowe w wielu kwestiach potencjalnie mogą stać się sojusznikiem w pracy na rzecz upodmiotowienia Polaków

Jeżeli poważnie potraktujemy diagnozę kroczącej rewolucji podmiotowości, a nowe formy polityczności, pojawiające się w ostatnich latach, uznamy za jej jaskółki, to najwyższy czas zastanowić się nad rolą związków zawodowych na tej nowej mapie obywatelskich zaangażowań. To szczególnie pożądane, gdy za wyzwanie potraktujemy fundamentalną przebudowę rynku pracy, której jesteśmy świadkami. By jednak takie nowe otwarcie było możliwe, same związki zawodowe muszą na nowo zdefiniować swoją rolę w zmieniającej się rzeczywistości.

Między ciężarem a klientem

Stosunek wolnorynkowej prawicy i neoliberalnego centrum do związków zawodowych w III RP zamyka się w popularnym haśle „wszystkie związki na Powązki”. Właściwie nie zdarzało się, by te formacje w swojej diagnozie wychodziły poza kilka powtarzanych do znudzenia, choć niestety zwykle mających zakorzenienie w faktach, truizmów. Wśród podstawowych zarzutów, każących liberałom czynić wroga numer jeden ze związków, były tezy o obciążeniu, jakie związki zawodowe stanowią dla gospodarki. Również o rozbuchanych przywilejach związkowych aktywistów i nieproporcjonalnej sile związków w społecznej grze o kształt prawa, gdzie okazywały się grupą interesu najtrudniejszą do zignorowania przez zdolności mobilizacyjne i mało subtelną formę protestów.

Z kolei duże partie o programach skoncentrowanych na kwestiach socjalnych, takie jak PiS czy SLD, przez lata traktowały związki zawodowe po prostu jako klienta i pożądanego sojusznika o silnej karcie przetargowej – w postaci setek tysięcy zdyscyplinowanych wyborców. Służyły temu zresztą historyczne i światopoglądowe podziały pomiędzy związkami i ich gotowość do partyjnego zaangażowania. Fakt, że do prawicy z definicji blisko było „Solidarności”, a do lewicy – OPZZ czy ZNP, sprawiał, że w tych formacjach nie pojawiała się właściwie szersza refleksja nad rolą organizacji pracowniczych w państwie. Ich programy wyborcze

stawały się pasem transmisyjnym do wyrażania postulatów tej części związków, do której danej partii było bliżej.

Soczewka nowych wyzwań

Gdy przed wyborami parlamentarnymi 2015 roku Paweł Kukiz zaczął mówić o tym, że na spotkaniach programowych jego formacji przedstawiciele przedsiębiorców, czy skrajnie wolnorynkowych ośrodków opinii z jednej, a liderzy związkowi z drugiej strony, znakomicie się dogadują, większość komentatorów odbierała tę deklarację z dystansem. Dopatrywali się w tym raczej zasłony dymnej dla konfliktów, które wyniknąć muszą z różnorodności środowisk, widzących nadzieję w politycznej szarży kandydata na prezydenta. Tymczasem Kukiz dość celnie wskazywał, że pracodawca i pracownik mają wspólny interes, jakim jest powodzenie łączącego ich przedsiębiorstwa, a cechą złej polityki – nie tylko źle zarządzanego państwa, ale też niemądrych przedsiębiorców czy niemądrych związkowych liderów – jest przeciwstawianie ich sobie.

Przyglądając się wiadomościom ze świata związków zawodowych, zauważyć można, że i ta forma zrzeszania się staje dziś w obliczu wyzwań charakterystycznych i problematycznych dla całej wspólnoty politycznej. Spójrzmy więc na związki zawodowe pod kątem kilku interesujących z republikańskiej perspektywy problemów, by zrozumieć, że w wielu kwestiach potencjalnie mogą stać się sojusznikiem w pracy na rzecz upodmiotowienia Polaków.

Polak bez przynależności

Po pierwsze, związki zawodowe padły ofiarą niechęci Polaków do zrzeszania się i kryzysu zaufania do wszelkich form instytucjonalizacji życia obywatelskiego w ogóle. Tak samo jak partie polityczne i organizacje pozarządowe, polskie związki są dużo mniej popularne w Polsce niż w innych państwach Europy. Według danych CBOS z 2015 roku do związków należy 6% Polaków i 11% pracowników najemnych. Uzwiązkowienie sytuuje się na tym poziomie mniej więcej od 2006 roku, podczas gdy jeszcze w 1991 roku do związków zawodowych należało 19% wszystkich badanych i 28% pracowników. Średnie uzwiązkowienie pracowników w Unii Europejskiej to ok. 22%, czyli dwukrotnie więcej niż w Polsce. Niższy poziom obserwujemy tylko we Francji, w Estonii i na Litwie. W Niemczech, Hiszpanii czy Holandii oscyluje on minimalnie poniżej unijnej średniej, a w krajach skandynawskich sięga od 50% (Norwegia) do nawet 70% (Szwecja, Finlandia).

Ciekawe, że Polacy bardzo rzadko zrzeszają się w związkach zawodowych również tam, gdzie poziom zainteresowania nimi jest dużo wyższy niż w naszym kraju. Jak wynika z badań Instytutu Spraw Publicznych, w Wielkiej Brytanii do związków należy jedynie 8,2% polskich pracowników, podczas gdy brytyjska średnia wynosi ok. 25%. Oczywiście nie bez znaczenia jest fakt, że Polacy pracują głównie w tych sektorach brytyjskiej gospodarki, gdzie uzwiązkowienie jest najniższe. Autorzy szerokiego badania na ten temat wskazują jednak również na znaczenie kulturowych czynników, determinujących niskie zainteresowanie taką formą zrzeszania się: m.in. postrzeganie ich przez pryzmat upartyjnienia w Polsce oraz swoisty indywidualizm Polaków na emigracji. Jak Polacy oceniają działalność związków zawodowych? Według CBOS jako korzystną dla kraju ocenia ją 39% ankietowanych, jako niekorzystną – 36%. Co szczególnie

interesujące, aż 46% Polaków uważa, że wpływ związków zawodowych na decyzje władz jest zbyt mały. Tylko 16% jest zdania, że jest on na odpowiednim poziomie, a 18% uznaje, że jest zbyt wysoki. Oznacza to, że niezbyt entuzjastyczna ocena wpływu działalności związków na państwo wynika raczej z odbioru ich działalności jako niewystarczająco skutecznej, niż z przekonania o błędnych celach związków zawodowych w Polsce. Na marginesie warto wspomnieć, że niskie uzwiązkowienie nie powinno być argumentem podważającym legitymację organizacji pracowników do reprezentacji, a raczej winno wskazywać na szerszą kwestię, jaką jest niechęć Polaków do zrzeszania się w ogóle. Jeżeli za problem uznamy bowiem fakt, że do związków zawodowych należy jedynie co dziesiąty pracownik, to jak ocenić to, że w związkach pracodawców zrzeszonych jest… zaledwie 3% z nich?

Związki ofiarą neokolonializmu

Drugi interesujący dla nas wymiar funkcjonowania związków zawodowych to ich działalność w tych sektorach gospodarki, które w największym stopniu skolonizowane zostały przez kapitał zagraniczny. Już podstawowa informacja statystyczna wskazuje na problem: w handlu poziom uzwiązkowienia wynosi zaledwie 2%, a więc ponad pięciokrotnie mniej niż ponadsektorowa średnia. Najbardziej jaskrawym przykładem jest historia prób stworzenia związków zawodowych w sieciach niemieckich dyskontów.

Latem 2015 roku Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" w sieci Lidl przestała istnieć. Po półtora roku starań na panewce spaliła druga już próba powołania związku zawodowego w niemieckiej sieci. Założycielkę związku dyscyplinarnie zwolniono z pracy, tak jak wielu innych pracowników, którzy próbowali rozpocząć działalność związkową. W marcu tego roku trud założenia związku w jednym z marketów Kaufland – sieci należącej do tej samej, co Lidl, niemieckiej grupy Schwarz – podjęło dwóch pracowników z Bełchatowa. Choć deklarację przystąpienia do związku złożyło kilkanaście osób, po trzech dniach od poinformowania pracodawcy o założeniu związku inicjatorzy… również zostali zwolnieni.

> **Organizacje pracowników – tak samo zresztą jak organizacje pracodawców czy konsumentów – będą służyć rozwojowi gospodarki tylko wówczas, gdy walkę o własny interes osadzą w kontekście szerszego namysłu nad dobrem wspólnym**

Mimo że w krajach Europy Zachodniej związki zawodowe w Lidlu istnieją, to skutecznie o prawa pracownicze udaje im się dbać jedynie… w Niemczech, a i to dopiero od niedawna. Gdy w 2013 roku podniesiono zarobki, towarzyszyła temu szeroko zakrojona kampania CSR. W następnych latach niemieckie związki doprowadziły do kolejnych podwyżek, które ostatecznie podniosły poziom zarobków w sieci na terenie Niemiec wyraźnie powyżej ogólnokrajowej płacy minimalnej,

jak i o 1,75 euro za godzinę ponad płacę minimalną w niemieckim handlu.

W pozostałych państwach związkowcy borykają się z na tyle poważnymi problemami, że w 2014 roku zorganizowali w Brukseli międzynarodową konferencję na ten temat. Liczą, że dopiero tworząc swoistą międzynarodówkę, uda im wpłynąć na politykę firmy wobec europejskich pracowników. W Niemczech i państwach o silnej pozycji związków zawodowych udało się osiągnąć pewne sukcesy. W Polsce – po prostu je rozwiązano.

Być związkowcem w czasach prekariatu

Trzeci wymiar, w którym miejsce związków zawodowych wydaje się interesujące, to ich przydatność w świecie zmieniających się stosunków pracy. W czerwcu 2015 roku Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok, zgodnie z którym dotychczasowe ograniczenie, pozwalające zrzeszać się w związkach jedynie pracującym na etatach, uznano za niekonstytucyjne. Co ciekawe, pozytywnie takie orzeczenie Trybunału odebrali nie tylko związkowcy, ale też przedstawiciele organizacji pracodawców, włącznie z Cezarym Kaźmierczakiem ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców oraz prof. Stanisławem Gomułką z Business Centre Club.

Anachroniczność przepisów sprawiała dotąd, że związki zawodowe koncentrowały się na sektorze publicznym: tych miejscach pracy, gdzie etat rzeczywiście jest jeszcze normą. Prowadzi to jednak do istotnego, szkodliwego zwłaszcza dla samych związków, zachwiania proporcji. Jeżeli przyjmiemy, że dialog społeczny dotyczący pracy kształtowany powinien być w trójkącie „pracownicy – pracodawcy – państwo", to kiedy związki koncentrują się na sektorze publicznym, faktycznie nie funkcjonują w trójkącie, ale w opozycji do pracodawcy – państwa. W tak uproszczonej strukturze mają większą szansę na polityczny sukces, ale jednocześnie spotykają się z nieufnością tych pracowników, którzy w sektorze prywatnym nie mogą liczyć na ich realne wsparcie.

Być może to właśnie urealnienie prawa do zrzeszania się w związkach dla pracowników nieetatowych sprawi, że związki zawodowe znów staną się dla pracowników sektora prywatnego atrakcyjne. Dziś jednak trudno to przewidzieć – rząd w marcu tego roku przedstawił propozycję nowelizacji ustawy o związkach zawodowych, która implementować ma zeszłoroczne orzeczenie TK. Przy okazji zaproponował tak wiele niespodziewanych zmian w dotychczasowych przepisach, że spotkało się to z zaniepokojeniem zarówno ze strony pracowników, jak i pracodawców, samo zaś omówienie proponowanych przez rząd nowelizacji jest tematem na osobną, obszerną analizę.

Szukając wspólnych mianowników

Tak nakreślona panorama problemów świata związkowego wydaje się dowodzić, że dla republikańskich środowisk, działających na rzecz większej podmiotowości Polaków, związki mogą okazać się atrakcyjnym sojusznikiem. Wymaga to jednak nie tylko wyrzeczenia się uprzedzeń po stronie republikańskiej, ale też zmiany akcentów w działalności samych związków.

W wymiarze przełamywania społecznej niechęci do zrzeszania się, wszelkie ruchy obywatelskie mają ze związkami wspólne cele: przezwyciężenie niechęci do zbiorowego zaangażowania i odejście od źle pojmowanego indywidualizmu – ku dobrze rozumianej wspólnotowości. Szerokie, koalicyjne posunięcia, wyjaś-

niające Polakom, że działając razem mogą zrobić więcej niż w pojedynkę, mogłyby być dobrym punktem wyjścia.

W tym miejscu związkom oddać należy, że pierwsze symptomy takich republikańskich zaangażowań mogliśmy w ostatnich latach obserwować: choćby wówczas, gdy „Solidarność" angażowała się w prace na rzecz prostszych i wiążących referendów, czy gdy wyraziła poparcie dla zmiany ordynacji wyborczej. Ważne jednak, by związki nie patrzyły na taką pracę jedynie przez pryzmat własnego interesu: wydaje się bowiem, że na przykład zaangażowanie w temat referendów wynikło głównie z doświadczeń „Solidarności", związanych z próbą skrócenia wieku emerytalnego. Inspiracją do szerszego spojrzenia może być zresztą sam założycielski etos „S": nie tylko republikański, ale i właściwie uniwersalny. Warunkiem skuteczności szerszego zaangażowania związków w promowanie aktywności obywatelskiej musi być jednak uświadomienie sobie znajdującego potwierdzenie w badaniach faktu, że aktywny w związku zawodowym pracownik będzie prawdopodobnie bardziej zaangażowanym obywatelem, a obywatel częściej angażujący się w życie wspólnoty politycznej czy lokalnej – chętniej zaangażuje się też w struktury pracownicze.

Na polu przeciwdziałania neokolonializmowi związki w naturalny sposób mogą szukać synergii z polskimi pracodawcami. W chwili wybuchu mody na gospodarczy patriotyzm, dobre traktowanie pracowników przez pracodawców i szanowanie roli związków zawodowych w polskich firmach może być dla krajowych przedsiębiorców kolejną przewagą w konkurencji o uwagę i sympatię konsumenta, dzięki której będą mogli odróżnić się od kolonizujących polską gospodarkę koncernów. To oczywiście wielkie wyzwanie, wymagające prawdziwej wizji, ale otwierające przestrzeń dla wielu wspólnych działań. Choćby promowane przez związki zawodowe ograniczenie handlu w niedzielę może być szansą dla drobnego handlu, pozostającego w polskich rękach: małe sklepy nie powinny być dotknięte zakazem handlu, jeżeli w niedzielę będą obsługiwane przez właścicieli.

Aktywny w związku zawodowym pracownik będzie prawdopodobnie bardziej zaangażowanym obywatelem, a obywatel częściej angażujący się w życie wspólnoty politycznej czy lokalnej – chętniej zaangażuje się też w struktury pracownicze

Po trzecie wreszcie, wraz ze zmieniającą się strukturą rynku pracy, tak związki zawodowe, jak i pracodawcy muszą aktywnie szukać równowagi pomiędzy bezpieczeństwem zatrudnienia a wyzwaniem elastyczności, o czym piszą autorzy pozostałych tekstów niniejszego numeru „Nowej Konfederacji". Przywołana już jednomyślność przedstawicieli związków i pracodawców, w ocenie rozszerzenia prawa do zrzeszania się w organizacjach pracowniczych również osób pracujących na umowach cywilno-prawnych, jest dobrym przykładem poszukiwania we

wzajemnych relacjach nie tylko przestrzeni do konfrontacji, ale przede wszystkim do wspólnego namysłu nad tym, co dla rozwoju narodowej gospodarki wskazane.

Wyjść poza branżową perspektywę

Stefan Sękowski przypomniał, że pozytywną rolę związków zawodowych Jan Paweł II podkreślał nawet w *Centesimus Annus*, uważanej za najbardziej wolnorynkową z papieskich encyklik. Na zakończenie warto zwrócić uwagę, że Kościół jest w awangardzie republikańskiego postrzegania potencjału związków zawodowych i w XXI wieku, doskonale zdając sobie sprawę ze złożoności przemian gospodarczych, które rolę związków zawodowych każą nieustająco definiować na nowo.

„Wypada przypomnieć o pilnej potrzebie, aby związki zawodowe ludzi pracy, zawsze zachęcane i podtrzymywane przez Kościół, otwarły się na nowe perspektywy pojawiające się w środowiskach pracowniczych. Wznosząc się ponad ograniczenia właściwe branżowym związkom zawodowym, związki zawodowe wezwane są do zajęcia się nowymi problemami naszych społeczeństw: mam na myśli, na przykład, zespół kwestii, które uczeni zajmujący się naukami społecznymi identyfikują w konflikcie między osobą-pracownikiem a osobą-konsumentem" – pisał w 2009 roku w encyklice „Caritas in veritate" Benedykt XVI, otwierając pole do dyskusji nad kolejnym z wielkich, stojących przed związkami zawodowymi wyzwań, jakim jest mierzenie się z konsumpcjonizmem współczesnego świata.

Samo wezwanie związków zawodowych do wzniesienia się ponad branżowe ograniczenia powinno być jednak zaleceniem uniwersalnym: adekwatnym tak do konfrontowania się z problemem konsumpcjonizmu, jak i obywatelskiej obojętności czy neokolonializmu. Organizacje pracowników – tak samo zresztą jak organizacje pracodawców czy konsumentów – będą służyć rozwojowi gospodarki tylko wówczas, gdy walkę o własny interes osadzą w kontekście szerszego namysłu nad dobrem wspólnym.

Nauczyć się wolności

Z Krzysztofem Nędzyńskim rozmawia Aleksandra Rybińska

Krzysztof Nędzyński
Członek Klubu Jagiellońskiego i redakcji kwartalnika „Pressje”, ekonomista i filozof, pracownik NBP

Tradycyjny model gospodarki ma się do modelu Kelsowskiego tak, jak model monarchiczny do republikańskiego

Amerykański ekonomista Jeremy Rifkin twierdzi, że kończy się era klasycznego kapitalizmu i stosunków pracy, które on wytworzył. Według niego w niedalekiej przyszłości będziemy mieli w pełni zautomatyzowane fabryki, wirtualny handel detaliczny i kulturę barteru. Ile w takim układzie będzie jeszcze warta praca?

Żeby na to pytanie odpowiedzieć należy pojęcie „praca” podzielić na dwie część: do niedawna dla większości ludzi praca oznaczała przede wszystkim wysiłek fizyczny: albo na polu, albo w fabryce. Zaangażowane było przede wszystkim ciało. Ten rodzaj pracy jest w oczywisty sposób wypierany przez to, co nazywamy postępem techniki, czyli automatyzację. Ogromna większość tych ciężkich, niewdzięcznych prac może być dziś wykonywana przez różnego rodzaju maszyny i roboty. Znaczenie tego rodzaju pracy więc niewątpliwie spadło w przeciągu ostatnich 200 lat, od czasu rewolucji przemysłowej, i będzie dalej spadało. Mamy też drugi rodzaj pracy, który można nazwać pracą twórczą, polegający na robieniu nowych rzeczy, a nie powtarzaniu wcześniej przyjętej mechanicznej procedury. Jest w tym jakiś pierwiastek arcyludzki. Ten rodzaj pracy staje się coraz ważniejszy. Ludzie, którzy wykonują pierwszego rodzaju pracę są w coraz trudniejszej sytuacji. Ci, którzy wykonują drugiego rodzaju pracę, tak zwana klasa kreatywna (typowym przykładem są informatycy), zyskują na znaczeniu. Rola tego typu wysiłku zdecydowanie będzie rosła.

Dochód z pracy często jednak nie starczy na wiele więcej niż konsumpcja. Klasa średnia ubożeje. Panuje poczucie niesprawiedliwości: „ciężko pracuję, a i tak na nic mnie nie stać”. Donald Trump, obiecując powrót do prosperity, zwraca się głównie do amerykańskiej klasy średniej…

Rola pracy fizycznej, nietwórczej, spada. Jak już mówiłem, ten rodzaj pracy jest coraz częściej wykonywany przez maszyny. Ludzie, którzy wykonują taką pracę, jeszcze pół wieku temu byli nieźle opłacani. W dzisiejszym świecie są zmuszeni pracować na dwa etaty, jeden np. jako sprzedawca w markecie, drugi też wykonując jakąś prostą pracę, podczas gdy większość produkcji jest wykonywana przez wyspecjalizowane maszyny, obsługiwane przez słabo opłacanych pracowników, np. w Chinach. Te towary później trafiają do krajów zachodnich. Osoby, które 50 lat temu moglibyśmy zaliczyć do klasy średniej, by utrzymać dotychczasowy poziom życia, muszą pracować więcej. Zamiast jednej osoby w rodzinie pracującej na jeden etat, pracują dwie, każda na półtora etatu. To jest powód, dlaczego klasa średnia ubożeje. Ludzie są bardzo zapracowani, i mimo tego nie są w stanie wiele zaoszczędzić, ani zainwestować.

Żeby uzyskać kapitał trzeba mieć kapitał?

Tak, żeby dostać pieniądze, trzeba mieć pieniądze. Te oszczędności, które ci ludzie są w stanie wygenerować, mogą włożyć na przykład na bardzo nisko oprocentowaną lokatę. Atrakcyjne i efektywne metody pomnażania pieniędzy nie są dla nich dostępne. By móc aktywnie uczestniczyć w tworzeniu majątku w dzisiejszej gospodarce, trzeba już mieć majątek. Ekonomia binarna, której twórcą jest Louis Kelso, próbuje znaleźć następującą odpowiedź na ten problem: ponieważ prostej pracy jest coraz mniej, a by trudzić się pracą twórczą należy spełnić szereg wymogów, choćby długie wykształcenie, które nie jest dostępne dla każdego, powinno przestać być oczywiste, że jedynym i głównym źródłem zarobkowania dla przeciętnego człowieka jest praca. Idea ekonomii binarnej polega na tym, że jak najwięcej ludzi, a docelowo wszyscy, czerpią co najmniej połowę swoich dochodów z kapitału. Louis Kelso rozumiał przez to, że ludzie zaczną być właścicielami firm, z którymi mają istotny związek. Najbardziej znanym przykładem jest akcjonariat pracowniczy. Polega on na tym, że pracownicy mogą nabyć udziały w firmach,

Idea ekonomii binarnej polega na tym, by jak najwięcej ludzi, a docelowo wszyscy, czerpali co najmniej połowę swoich dochodów z kapitału. Louis Kelso rozumiał przez to, że ludzie zaczną być właścicielami firm, z którymi mają istotny związek

w których pracują. To funkcjonuje na takiej zasadzie, że państwo oferuje duże ulgi podatkowe przedsiębiorcom, jeśli oddadzą część swoich udziałów pracownikom. Na dodatek pracownicy, którzy są jednocześnie właścicielami, są bardziej produktywni. Pracują także dla siebie. Firmy z akcjonariatem pracowniczym pojawiły się w połowie lat 70. w USA. To ważne, ponieważ było sporo czasu, by zbadać, jak ten model sprawdza się w praktyce. Obecnie w Stanach Zjednoczonych

firmy z PPW zatrudniają 15 mln ludzi. Badania wykazały, że firmy, w których jest akcjonariat pracowniczy i kultura własności, czyli pracownicy nie tylko są właścicielami w sensie prawnym, ale uczestniczą w zarządzaniu firmą, są znacznie bardziej produktywne niż analogiczne firmy, w których tej własności pracowniczej nie ma.

Najczęstszy argument podnoszony przeciwko akcjonariatowi pracowniczemu to brak dywersyfikacji. Pracownik nabywa udziały w jednej firmie. Gdy ta bankrutuje, traci zarówno pracę, jak i kapitał. Były takie przykłady. Choćby spektakularny upadek Enronu…

To nie miało tak być. Kelso mówił, że człowiek powinien mieć akcje nie tylko firm, dla których pracuje, czy pracował, ale także akcje firm, których jest konsumentem. Firm użyteczności publicznej, jak elektrociepłownie, wodociągi itd. To jest tak zwany akcjonariat konsumencki. Ta idea w pewien sposób została wdrożona w rzeczywistości biznesowej. Przykładem są programy lojalnościowe dla klientów, choćby w liniach lotniczych. Wszelkie naturalne monopole mogłyby być w ten sposób wykorzystane: niech będą własnością ludzi, którzy na obszarze tych naturalnych monopolów mieszkają. Najszerszą ideą, jaką Kelso miał, była jednak idea akcjonariatu obywatelskiego: chciał, by każdy człowiek z tego tylko tytułu, że jest obywatelem, mógł mieć majątek. Człowiek po kilkudziesięcioletniej karierze zawodowej powinien przechodzić na emeryturę mając akcje różnych firm, z którymi był, czy jest wciąż, blisko związany. Firm, które dawały mu zatrudnienie, których był konsumentem, a teraz są podstawą jego emerytury.

Zakładając, że te firmy dalej funkcjonują. Dziś natomiast potrafią upadać szybciej niż się pojawiają.

Tak, zgadza się, ale zwykle jednak bankructwo nie jest tak niespodziewane. Widząc, że w firmie zaczyna dziać się źle, pracownicy mają możliwość reakcji. W określonych momentach mogą odsprzedać swoje udziały firmie.

To wszystko jest naznaczone idealizmem i zakłada sporą dawkę dobrej woli ze strony przedsiębiorców, a jej chyba nie ma, bo model akcjonariatu pracowniczego się słabo przyjął, i to nawet w USA. Zachęty w postaci ulg podatkowych i możliwego wzrostu produktywności najwyraźniej nie wystarczają.

To nie zostało wdrożone, bo czas tej idei jeszcze nie nadszedł. Kelso sam wychodził z założenia, że jego idea zostanie zrealizowana dopiero w XXI wieku. Swoją pierwszą książkę „The Capitalist Manifesto" napisał w latach II wojny światowej. Służył wtedy na statku. Gdy został zwolniony do cywila, rząd amerykański zaczął urządzać gospodarkę według prawideł keynesowskich. Przyjęto ustawę o pełnym zatrudnieniu. Dla Kelso był to całkowity absurd. Jego zdaniem pełne zatrudnienie nie było celem, do którego społeczeństwo powinno dążyć. Pełne zatrudnienie może bowiem istnieć tylko w państwie niewolniczym. W państwie zaawansowanym technologicznie, bezrobocie jest rzeczą zupełnie naturalną, nie należy temu przeszkadzać, tylko zadbać o to, by własność była rozproszona, rozpowszechniona.

Mamy obecnie, a jesteśmy już w XXI wieku, sytuację zupełnie odwrotną.

85 najbogatszych ludzi ma tyle pieniędzy, co połowa świata. Koncentracja kapitału postępuje.

Zgadza się. Nierówność jest obecnie największym problemem ekonomicznym, zresztą szeroko dyskutowanym, szczególnie od chwili ukazania się książki Thomasa Piketty'ego „Kapitał w XXI wieku". Ludzie zorientowali się, że istnieje ogromny problem, zarówno praktyczny, jak i teoretyczny, na każdej płaszczyźnie. Ludzie, którzy znają trochę Piketty'ego i wiedzą, jak wygląda rzeczywistość polityczna i gospodarcza, są o wiele bardziej otwarci na idee Kelso. Przez 70 lat były inne priorytety, teraz sytuacja się zmieniła. Warunki stały się przyjazne, szczególnie w Polsce, ponieważ prywatyzacja została tu przeprowadzona w sposób bardzo niedoskonały. Doprowadziła do dużej koncentracji majątku. W Polsce pobrzmiewa echo wyżu demograficznego. Bardzo liczne pokolenie, nasze pokolenie, potrzebuje przestrzeni, szansy, żeby móc funkcjonować, założyć rodzinę itd.

No dobrze, ale mówimy tu głównie o sektorze produkcyjnym. Kolejnym problemem związanym z koncentracją kapitału jest nadmiar sztucznego pieniądza, niemającego pokrycia w produkcji. Kelso nie mógł tego w tej mierze przewidzieć. Jak się to ma do akcjonariatu pracowniczego, a nawet obywatelskiego?

Sztuczny pieniądz – nie wiem, czy to jest do końca trafne określenie. Nazwijmy to problemem z systemem finansowym. Uprzemysłowiona, nowoczesna, zrobotyzowana gospodarka, w której jest mały procent ludzi, posiadających te maszyny, prowadzi do ogromnych nierówności dochodowych. Gdyby nie to, że oprócz mechanizmów ekonomicznych istnieją także mechanizmy polityczne, to nasze społeczeństwa już dawno by się rozsypały. Ponieważ istnieją nierówności, mamy bardzo silną tendencję do redystrybucji tego majątku. Zabrać bogatym, opodatkować ich, dać biednym. Drugą metodą jest także redystrybucja, ale ukryta, czyli biurokratyzacja. Państwo zatrudnia ludzi, którzy wykonują pozorną pracę, ale dostają za to prawdziwe pieniądze, finansowane

> **Osoby, które 50 lat temu moglibyśmy zaliczyć do klasy średniej, by utrzymać dotychczasowy poziom życia, muszą pracować więcej. Zamiast jednej osoby w rodzinie pracującej na jeden etat, pracują dwie, każda na półtora etatu**

z podatków. Ale jest trzeci mechanizm kompensacji nierówności: poprzez zadłużanie się biednych u bogatych, niebezpośrednio, ale w instytucjach finansowych i poprzez zadłużanie się obecnych biednych wobec przyszłych pokoleń, czyli dług publiczny. Banki centralne na różne sposoby mogą ułatwiać to zadłużanie, powodując problemy w systemie finansowym. W tym sensie, jeśli biedni zaczynają mieć kapitał, który jest źródłem ich dochodów, to te wszystkie palące i nierozwiązywalne problemy polityczne, które są mechanizmami kompensacji nierówności dochodowych, przestają być potrzebne. Coraz więcej

ludzi staje się zdolnymi do samodzielnego funkcjonowania i nie musi się oglądać na niczyją pomoc, szczególnie socjalną.

Brzmi wspaniale. Ale są kultury, takie jak francuska, gdzie dominują związki zawodowe i budżetówka, a zwykli ludzie uważają socjal za największe społeczne osiągnięcie, wynikające z walki klas ostatnich kilkudziesięciu, a nawet i więcej, lat. Każdą próbę odebrania im tego, pod jakimkolwiek pozorem, uważają za zbrodnię. Niełatwo będzie przełamać te kulturowe wzorce i tradycje.

Kelso ze zdziwieniem odkrył, że jego rozwiązanie, którego głównym beneficjentem jest klasa pracująca, jest aktywnie zwalczane przez ruch związkowy. To wydaje się paradoksalne, ale tylko na pierwszy rzut oka. Ruch związkowy pomaga pracownikom wywalczyć większą część produktu. Mamy rosnącą rolę kapitału, co oznacza, że mamy także rosnące dochody z kapitału. Z drugiej strony, mamy spadającą rolę pracy. Fundusz płac jest więc w PKB coraz mniejszy. Ruch związkowy chce zatrzymać ten proces, by fundusz płac do podziału wśród pracowników był jak największy. Ale rozwiązanie, które miałoby polegać na tym, że nie trzeba już targować się o płacę, tylko pomagać w tym, by jak najwięcej ludzi było kapitalistami, spowodowałoby, że ruch związkowy stałby się niepotrzebny. Kelso uważał, że cena pracy, jaką on zaobserwował, jest wyższa niż cena równowagi, i że po wprowadzeniu reform związanych z ekonomią binarną, gdzie pracownicy zaczną mieć więcej dochodów z kapitału, cena pracy spadnie. Ruch związkowy to rozumiał i wiedział, że jest to sprzeczne z jego interesami. To jest poważna zmiana paradygmatu i można to spokojnie porównać do przewrotu kopernikańskiego. Kelso proponuje model analogiczny do heliocentrycznego: nie praca ludzka jest w centrum – ona jest tylko jedną z dwóch wartości centralnych: kapitału i pracy. Trzeba wszystko do tego dostosować: prawo, styl życia i mnóstwo innych rzeczy. Kelso miał świadomość, że to jest największy problem. Zmiana mentalnościowa. Nauczyć się żyć, jako wolni ludzie. Kelso uważał, że powołaniem człowieka jest tworzenie kultury i uczestniczenie w polityce. Do tego ekonomia binarna prowadzi i to też jest warunkiem ekonomii binarnej. Tradycyjny model gospodarki ma się do modelu Kelsowskiego tak, jak model władzy monarchicznej do republikańskiej. Działający sprawnie, byłby potęgą.

Zmiana paradygmatu – to brzmi wdzięcznie, ale co z tymi, którzy z różnych powodów (choroba, niepełnosprawność) nie są w stanie pracować? Czy dla tych ludzi system redystrybucyjny nie musi pozostać w pewnej mierze podtrzymany? Ktoś musi ich utrzymać, a cytując klasyka: „nie ma darmowych posiłków".

Odpowiedź na to pytanie jest w maksymalnym skrócie następująca: akcjonariat obywatelski lub inaczej powszechny. Polega on na tym, że państwo proponuje pewien układ firmom, które mają jakąś inwestycję do sfinansowania. Najbardziej obrazowy będzie przykład budowy nieruchomości komercyjnych – galerii handlowych, powierzchni magazynowych czy biur. Jest to bardzo atrakcyjna forma kapitału – raz wybudowana, przez długie lata daje relatywnie stabilne dochody, bez konieczności stałego, aktywnego angażowania się w prowadzenie biznesu. Rentier to najczęściej ktoś, kto ma pasywny

dochód z nieruchomości. Czy jest możliwe, aby w tym sensie rentierami byli niepełnosprawni, dzieci itp.? Kelso odpowiada, że tak i wymienia warunki, jakie muszą być spełnione.

Najważniejsza i praktycznie jedyna różnica między nimi a bogatymi, którzy na końcu tradycyjnego procesu inwestycyjnego staną się właścicielami nieruchomości, polega na tym, że ci pierwsi mają majątek, który mogą przedstawić, jako zabezpieczenie. Oni nie uczestniczą w zarządzaniu nieruchomością – robi to profesjonalny podmiot – szuka najemców, negocjuje itp., za co otrzymuje wynagrodzenie. Kelso wymyślił więc, że jest bardzo wskazane, aby istnieli ubezpieczyciele kredytów inwestycyjnych. Wówczas każdy obywatel, nawet niepełnosprawny, mógłby stać się współwłaścicielem nieruchomości komercyjnej. Mógłby uczestniczyć w tej lukratywnej branży gospodarki, nawet jeśli nie miałby majątku na przypadającą na niego część zabezpieczenia. Na wypadek wystąpienia problemu – przykładowego uciążliwego sąsiada, wykupywałby ubezpieczenie.

A co, jeśli nie miałby pieniędzy także na ubezpieczenie?

Tu Kelso dopuszczał redystrybucję. Rząd mógłby wykupywać to ubezpieczenie dla biednych ludzi – do momentu, kiedy nie zgromadzą np. 0,5 mln zł aktywów. W tym wypadku oczywiście jest to inna redystrybucja – rząd daje nie rybę, ale wędkę. Oczywiście nabyte w preferencyjny sposób udziały w galerii handlowej nie mogłyby być zbywane i przeznaczone na bieżącą konsumpcję.

Są ekonomiści, sytuujący się głównie po lewej stronie politycznego spektrum, którzy twierdzą, że to wszystko jest zbyt skomplikowane. Wystarczy udostępnić nieoprocentowane pożyczki, bez zabezpieczeń, i problem udziału ubogich i klasy średniej w produkcji sam się rozwiąże. Coś w rodzaju bankowości islamskiej, tylko bardziej radykalne.

No nie. To rozwiązanie było testowane naprawdę wielokrotnie i kończy się to zawsze w zły sposób, dlatego że nie ma dyscypliny finansowej. Te rozwiązania lewicowe, które mówią, że wystarczy zlikwidować koszt kredytu, a wtedy gospodarka ruszy, nie mają pokrycia w rzeczywistości. Jeśli każdy może dostać tani kredyt, to jaka instytucja, jaki podmiot zagwarantuje, że te kredyty będą spłacane? Albo, że nie będą przeznaczane na rzeczy niepotrzebne, np. fabryki towarów, których nikt nie chce? Zaleta modelu Kelso polega na tym, że ta cała dyscyplina jest zachowana. Faworyzuje tych, którzy nie mają łatwego dostępu do kapitału, jednocześnie nie podważając dyscypliny systemu finansowego. Model Kelso nie kwestionuje żadnej z fundamentalnych zasad obecnego systemu społeczno-gospodarczego – ograniczonego rządu, wolnego rynku, własności prywatnej. Wręcz przeciwnie – przez postulat powszechnej własności kapitału chce, aby te zasady zaczęły działać na rzecz całego społeczeństwa.

Aleksandra Rybińska
Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Witajcie w skansenie

Tomasz Pułról
Prawnik, publikuje we „Wprost" i „Kurierze Słupeckim",
były Prezes Stowarzyszenia KoLiber

Nowa ustawa regulująca obrót ziemią cofa rynek rolny o ćwierć wieku. Żeby wzmocnić polskie rolnictwo i bronić się przed wykupem, nie trzeba iść tak daleko

Ograniczenie możliwości nabywania ziemi rolnej co do zasady tylko do rolników, normy obszarowe, regulacje prowadzące do koncentracji ziemi w rękach państwowych. Chęć bawienia się w inżynierię społeczną i wyręczanie rynku. Daleko idące ingerencje w prawo własności i swobodę umów. No i ta retoryka walki z „obszarnikami", a także „spekulantami" – tak wyglądała regulacja obrotem ziemią rolną w okresie PRL. I tak będzie niestety ona wyglądała po wejściu w życie ustawy o wstrzymaniu sprzedaży nieruchomości Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa oraz o zmianie niektórych ustaw, choć za PRL celem była kolektywizacja, a dziś – ochrona gospodarstw rodzinnych. Może jednak powinniśmy zgodzić się na to wszystko – w imię wyższego dobra, jakim ma być ochrona polskiej ziemi i odpowiedni rozwój rodzimego rolnictwa?

Jak zmieniało się prawo

Wszystko przez to, że 1 maja tego roku skończył się unijny okres przejściowy, w którym zagraniczni nabywcy polskich gruntów potrzebowali specjalnych zezwoleń na dokonanie takiej transakcji. Rodzi to liczne obawy przed masowym wykupem polskiej ziemi przez dysponujących większą siłą ekonomiczną obywateli państw tzw. starej Unii. Dlatego też podzielający te obawy rząd Beaty Szydło stworzył projekt ustawy o wstrzymaniu sprzedaży nieruchomości Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa oraz o zmianie niektórych ustaw. Jego racją bytu jest zabezpieczenie naszych gruntów rolnych przed wykupem, a także wzmocnienie polskiego rolnictwa opartego na indywidualnych gospodarstwach rolnych. **Ustawa została już przyjęta przez parlament.** Te zmiany odwracają kierunek dotychczasowego prawodawstwa, które co do zasady szło od regulacji do coraz większej swobody obrotu ziemią rolną. W niechlubnych czasach PRL obrót ziemią, podobnie jak większość dziedzin gospodarki, poddany był wielu ograniczeniom. Tworzono liczne regulacje, na czele z reformą rolną, których celem była realizacja jednej z ważnych idei real-

nego socjalizmu, czyli kolektywizacji rolnictwa. Walczono wtedy z tzw. „obszarnikami" i próbowano w ramach brutalnej inżynierii społecznej wyeliminować sektor rolnictwa indywidualnego, zastępując go spółdzielniami. Warto tu przywołać choćby ustawę z 1957 r. o obrocie nieruchomościami rolnymi. Przewidywała ona zarówno ograniczenia podmiotowe, jak i przedmiotowe nabywania nieruchomości rolnych. Zgodnie z jej postanowieniami, nabycie przez osobę fizyczną nieruchomości o wielkości przekraczającej 5 ha obwarowane było wymogiem posiadania zaświadczenia potwierdzającego posiadanie wymaganych kwalifikacji. Obszar gruntu nabywanego, łącznie z posiadaną już wcześniej nieruchomością, nie mógł przekraczać co do zasady 100 ha – w przypadku nabycia nieruchomości w drodze dziedziczenia albo nabycia od właściciela przez jego małżonka lub zstępnych. W pozostałych przypadkach 15 ha, a jeżeli nieruchomość rolna miała charakter gospodarstwa hodowlanego – 20 ha. Przekroczenie norm obszarowych groziło konfiskatą na rzecz Skarbu Państwa. Ustawa o ograniczeniu podziału gospodarstw rolnych z 1963 roku wprowadzała ograniczenia w zakresie znoszenia współwłasności gospodarstw rolnych (podział mógł być dokonywany tylko wtedy, gdy w efekcie nowy właściciel spełniał odpowiednie normy obszarowe) oraz zasady ich dziedziczenia. Zasadniczo dziedziczyć mogły tylko osoby spełniające odpowiednie wymogi, gdy wśród spadkobierców nikt ich nie spełniał, grunty przejmowało państwo. W 1982 roku uelastyczniono te ograniczenia, wreszcie już w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej, mocą nowelizacji Kodeksu Cywilnego w 1990 r. zniesiono większość powyższych regulacji. Pozostawiono przede wszystkim pewne ograniczenia w zakresie podziału współwłasności i ustawowego dziedziczenia gospodarstw rolnych (które zostały uznane za niezgodne z Konstytucją przez Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 31 stycznia 2001 r.). Do niedawna, oprócz regulacji dotyczących podziału współwłasności, obowiązywały jedynie wynikające z ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego: prawo pierwokupu dla dzierżawcy oraz co do zasady prawo pierwokupu gospodarstw rolnych o powierzchni nie mniejszej niż 5 ha Agencji Nieruchomości Rolnych. Brak było natomiast ograniczeń podmiotowych, nie trzeba było być rolnikiem, by móc nabyć nieruchomość rolną.

Wszystko zmieniło się w poprzednim roku, kiedy nowe regulacje, zwiększające zakres ingerencji ANR w obrót ziemią rolną, oraz ustanawiające liczne, nowe ograniczenia w tej dziedzinie, próbował przeforsować rząd PO-PSL

Nowe regulacje

Wszystko zmieniło się w poprzednim roku, kiedy nowe regulacje, zwiększające zakres ingerencji ANR w obrót ziemią rolną, oraz ustanawiające liczne, nowe ograniczenia w tej dziedzinie, próbował przeforsować rząd PO-PSL. Uchwalono

nową ustawę, jednak ostatecznie nie weszła ona w życie, gdyż po wygranych wyborach PiS postanowił przygotować swoją wersję przepisów mających chronić rodzime rolnictwo. I tak, po wejściu w życie uchwalonej 14 kwietnia ustawy, obowiązujący stan prawny zostanie dość mocno zmieniony, w kierunku znacznego ograniczenia

> **Wzrośnie nam znów, jak za czasów PRL, nieformalny obrót ziemią, bez aktów notarialnych, na tzw. gębę, co uderzy w bezpieczeństwo i porządek prawny. A brak powyższych jest jedną z głównych barier rozwoju**

obrotu ziemią rolną. Przede wszystkim wracamy do przedstawionych wyżej, znanych z czasów PRL ograniczeń podmiotowych. Od tej pory znów, niczym w czasach realnego socjalizmu, co do zasady ziemię rolną będzie mógł nabyć tylko wykwalifikowany rolnik. Natomiast pozostałe osoby (pomijając wyjątki zawarte w ustawie), chcące zakupić taki grunt, zmuszone będą uzyskać zgodę Prezesa ANR. Zgoda taka obwarowana zostanie różnymi warunkami, niemniej jednak sama decyzja będzie w dużej mierze arbitralna. Oprócz tego przewidziano również ograniczenia przedmiotowe, polegające na tym, że nabywca nie może w wyniku dokonania transakcji posiadać nieruchomości rolnych, których obszar przekracza 300 ha. Krótko mówiąc, zgodnie z deklaracjami ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgiela, wytaczamy ciężkie działa w walce z „obszarnikami" i bezwzględnie zakazujemy tworzenia zbyt dużych gospodarstw. Dodajmy do tego jeszcze nałożony na nabywcę obowiązek prowadzenia gospodarstwa rolnego aż przez 10 lat oraz rozszerzenie prawa pierwokupu dla ANR na wszystkie gospodarstwa rolne. I wisienka na torcie – całkowite wstrzymanie sprzedaży nieruchomości będących własnością państwa na okres 5 lat. Jaki skutek mogą przynieść tego typu rozwiązania?

To nic nie da

Proponowane zmiany nie będą w stanie postawić tamy ewentualnemu wykupowi polskiej ziemi przez obcokrajowców. Po pierwsze, jeśli prawdziwe są szacunki organizacji rolniczych, na które powołują się autorzy projektu ustawy w jej uzasadnieniu (zgodnie z którymi pomimo okresu ochronnego dochodziło do tej pory do licznych przypadków nieformalnego nabywania ziemi rolnej przez obcokrajowców), to kolejne ograniczenia zjawiska tego nie wyeliminują. Kreatywność ludzka nie zna bowiem granic, szczególnie kreatywność prawników i przedsiębiorców. Idę o zakład, że szybko zostaną znalezione liczne furtki, pozwalające na to, by jednak zdeterminowany obcokrajowiec mógł taką ziemię nabyć. Choćby poprzez wykorzystanie wyjątku przewidzianego dla związków wyznaniowych. Nie zdziwię się, jeśli w efekcie wzrośnie nam liczba kościołów, których rzeczywistym celem istnienia będzie obrót ziemią. Podobną sytuację mogliśmy już zaobserwować na przykładzie innej branży. Kilka lat temu ograniczono w naszym kraju możliwość handlu zwierzętami domowymi, zakazując sprzedaży zwierząt z hodowli niezarejestrowanych w ogólnokrajowych organizacjach spo-

łecznych, których statutowym celem jest działalność związana z hodowlą rasowych psów i kotów. Efekt? Jak grzyby po deszczu wyrastać zaczęły liczne organizacje miłośników psów i kotów, wystawiające fikcyjne metryki, dzięki którym można legalnie sprzedawać – jako rodowodowe – zwierzęta, których rasowość jest wątpliwa. Oprócz tej furtki bez wątpienia znajdą się też inne, włącznie z nieformalnym obrotem. Nie zapominajmy również, że oddanie tak dużej, dyskrecjonalnej władzy w ręce urzędników ANR to, by posłużyć się rolniczą metaforą, bardzo żyzna gleba dla rozkwitu korupcji. Szczególnie, że same agencje cieszą się bardzo wątpliwą reputacją instytucji przeżartych kumoterstwem i nepotyzmem.

Skoro zatem prawdopodobnie nie uda nam się wyeliminować zjawiska potencjalnego wykupu ziemi przez obcokrajowców, to może przynajmniej sprawimy, że polskie rolnictwo będzie się rozwijać, a dominującym jego modelem będzie gospodarstwo rodzinne? Obawiam się, że skutek może być wręcz odwrotny, ponieważ liczne ograniczenia dla obrotu ziemią sprawią, że drastycznie spadnie jej cena, co uderzy w majątki rolników. Wzrośnie znów, jak za czasów PRL (kiedy to rozdźwięk pomiędzy stanem prawnym, zapisanym w księgach wieczystych, a stanem faktycznym na wsiach stał się tak duży, że konieczne było wydanie specjalnej ustawy, która „legalizowała" własność samoistnych posiadaczy gruntów rolnych, poprzez przyznanie im preferencyjnych warunków zasiedzenia), nieformalny obrót ziemią, bez aktów notarialnych, na tzw. gębę, co uderzy w bezpieczeństwo i porządek prawny. A brak powyższych jest jedną z głównych barier rozwoju. Trudno bowiem inwestować, gdy nie ma jasno zdefiniowanych praw własności. Może to również prowadzić do licznych dramatów – w sytuacjach sporów o ziemię, gdy nagle okaże się, że ktoś, kto włożył w nią mnóstwo pracy i cały swój dorobek straci ją, bo formalnie własność przysługuje komuś innemu.

Można było inaczej

Co zatem zrobić, aby jednak zrealizować cele, dla których stworzono tego „legislacyjnego potworka"? Przede wszystkim najpierw należałoby podjąć refleksję na temat zasadności przyjmowanych założeń, poczynając od samej retoryki, czyli walki ze „spekulacją" i „obszarnikami". W rzeczywistości owa „spekulacja" jest pożytecznym zjawiskiem. Pozwala bowiem na ustalanie cen rynkowych, które pokazują przedsiębiorcy (a jest nim także rolnik), czy jego działalność jest opłacalna, czy nie. Rozwoju polskiego rolnictwa nie będzie, jeśli będziemy próbowali na siłę je modelować, utrzymując je w stanie samozadowolenia i chroniąc przed wymogami rynku. Rozwój gospodarczy tym się między innymi charakteryzuje, że stopniowo coraz mniej członków danej społeczności zajmuje się pracą na roli, która dzięki postępowi technologicznemu staje się coraz bardziej wydajna. Uwolnione zasoby można wtedy skierować w inne, bardziej potrzebne sektory, przede wszystkim usług czy nowych technologii. Jeśli chcemy rozwoju gospodarczego, nie możemy więc na siłę utrzymywać przerośniętego zatrudnienia w rolnictwie.

Silne rolnictwo to rolnictwo innowacyjne, oparte na dużych prywatnych gospodarstwach. Sztuczne wymuszanie innego modelu, czy to opartego na gospodarstwach rodzinnych, jak obecnie, czy to kolektywizacji, jak w czasach PRL, zawsze będzie działaniem gospodarczo nie-

korzystnym. Jeśli faktycznie chcemy zapobiec masowemu wykupowi polskiej ziemi rolnej przez obcokrajowców, to dążymy do zniwelowania ich przewagi ekonomicznej, stawiając przede wszystkim na wolną i innowacyjną gospodarkę. Stwórzmy warunki do tego, by polscy obywatele mogli zwiększać swoją siłę nabywczą. Tędy, a nie poprzez sztuczne chronienie nieefektywnych modeli gospodarczych, wiedzie droga do osiągnięcia celu, którym jest zwiększenie wielkości rodzimego kapitału, w tym dóbr w postaci ziemi. Warto przy okazji rozpocząć dyskusję na temat zasadności utrzymywania w Konstytucji RP art. 23, zgodnie z którym „podstawą ustroju rolnego państwa jest gospodarstwo rodzinne." Przepis ten wprowadzony został z pobudek ideologicznych, jako swoisty bezpiecznik, mający zapobiec powrotowi przykrych doświadczeń z czasów PRL. Miał też podkreślić, że taki właśnie model rolnictwa jest ściśle związany z polską tradycją. Myślę, że dziś powinniśmy jednak spojrzeć na ten temat bez emocji i postawić postulat de lege ferenda wykreślenia tego artykułu. Jego obecność wymusza bowiem, jeśli traktować go na serio, tworzenie regulacji, które na siłę promują gospodarstwa rodzinne. Jest to nic więcej, jak tylko niekorzystna gospodarczo inżynieria społeczna.

Jakie regulacje?

Jedyna sprawa, w przypadku której rzeczywiście warto zastanowić się nad wprowadzeniem pewnych regulacji ochronnych, to kwestia zachowania najbardziej żyznych ziem, które zagrożone mogą być przez potencjalne inwestycje nierolnicze. Nie potrzeba do tego jednak drakońskich ograniczeń prawa własności i swobody umów. Przygotujmy analizę na temat tego, jakim zasobem ziemi rolnej dysponujemy, ile potrzebujemy, żeby zapewnić minimum bezpieczeństwa żywnościowego. Korzystając z obecnych przepisów o planach zagospodarowania przestrzennego, wprowadźmy przemyślane regulacje, które pozwolą na utrzymywanie minimalnej liczby nieruchomości na cele rolne. Zaufajmy trochę bardziej rynkowi, pamiętając o tym, że jeśli podaż nieruchomości rolnych będzie za niska, to wzrosną ceny i w efekcie ta podaż znów się zwiększy.

Warto również zadbać o to, by zamiast gromadzenia ziemi w rękach państwa i budowania czegoś w rodzaju neofeudalizmu, doprowadzić do uwłaszczenia rolników. Myślę, że dobrym rozwiązaniem byłoby zaproponowanie dzierżawcom nieruchomości będących własnością ANR preferencyjnych warunków wykupu, czegoś na kształt bonifikat znanych z użytkowania wieczystego. Wzmocni to siłę ekonomiczną naszych rolników i upodmiotowi ich, uwalniając z tych zależności lennych od ANR, zwiększy wielkość rodzimego kapitału, a także upowszechni własność prywatną.

Nowa ustawa, regulująca obrót ziemią rolną, może przynieść katastrofalne skutki w postaci zubożenia polskich rolników, zachwiania bezpieczeństwa prawnego obrotu ziemią i zahamowania rozwoju rodzimego rolnictwa. Jeśli rzeczywiście chcemy zwiększyć siłę rodzimego rolnictwa, to nie możemy wracać do złych wzorców z czasów niewydolnego PRL. Pamiętajmy również o tym, że wszelkie regulacje, ingerujące we własność i swobodę umów, należy stosować z ogromną ostrożnością tylko wtedy, gdy jest to absolutnie niezbędne. Najlepszym regulatorem jest bowiem rynek, a nie przeżarte nepotyzmem agencje rolne.

Jeśli nie think tanki, to kto?

Rafał Matyja
Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Dopóki rządzący nie zaczną zadawać pytań, a po stronie instytucji eksperckich nie pojawią się szerokie, dopracowane obrazy – intelektualny ping pong będzie trwał bezkarnie

Polskiej polityce brakuje szerszej perspektywy. Nie rysują jej ani partie polityczne, ani wpływowe media, nie podejmują debaty na ten temat ośrodki akademickie. Jedyne instytucje, które widzą taką potrzebę – funkcjonujące w różnych formach think tanki – wydają się zbyt słabe, by wpływać choćby na kształt debaty publicznej. Ta słabość polskich think tanków nie wynika z niskiego poziomu wiedzy lub inteligencji ekspertów. Nie wynika też z braku, czy nawet niedoboru środków. Istotą rzeczy jest klimat intelektualny, w jakim funkcjonują. Istotą rzeczy jest udawanie, że polityka nie istnieje, koncentrowanie się na szczegółach bez próby konstruowania szerszego obrazu, czy wreszcie urzędowy optymizm, towarzyszący procesowi konsumpcji środków europejskich.

Jednocześnie polityka coraz łatwiej obywa się bez merytorycznego zaplecza. To sprawia, że potencjał wiedzy, jaką posiadają setki specjalistów, jest marnowany, a polski sektor ekspercki staje się coraz bardziej segmentem wyspecjalizowanych public relations, służącym produkcji czysto wizerunkowych strategii i projektów, a oddala się od swego podstawowego pola – jakim powinno być kształtowanie strategii publicznych.

Ograniczenia rozumu eksperckiego

Eksperci są zwykle specjalistami od dość wąskich dziedzin i rzadko kiedy chcą dostrzec proponowane przez siebie rozwiązanie jako element większej całości. Zwłaszcza, gdy postrzegają ową całość jako efekt rozstrzygnięć politycznych. Nawet wielkie programy rozwojowe ciągle przypominają „patchwork” pomysłów i rozwiązań cząstkowych, niepołączonych żadną myślą przewodnią, a co najwyżej kilkoma importowanymi z Brukseli sloganami.

Innym problemem jest rzadka zdolność do myślenia scenariuszowego, czyli rozpatrywania wariantów zmodyfikowanych w trakcie procesu wdrażania pierwotnego projektu. „Coś poszło nie tak” – więc nie ponosimy odpowiedzialności za

projekt. Nie wzięto pod uwagę modyfikacji, będących wynikiem gry interesów, niedoboru środków finansowych, kolizji prawnych itp. Co ciekawe, niechęć do takiego myślenia nie jest jakimś błędem, ale regułą. W trakcie reformy administracji w 1998 roku doszło do zmiany planowanej pierwotnie liczby województw i faktycznej odmowy współpracy ze strony resortu finansów. Oba czynniki można było łatwo przewidzieć, a jednak twórcy ówczesnej reformy uznawali, że tak daleko idący demontaż narusza jej cechy systemowe.

W ostatnich latach rozwinęła się też cała „branża" ekspertów, których wiedza ogranicza się do efektownego doradzania w dziele pozyskiwania środków europejskich. Trudno niekiedy powiedzieć, czy posiadają oni wiedzę o jakimkolwiek wymiarze rzeczywistości społecznej, ekonomicznej czy administracyjnej – potrafią dobrać parametry i argumenty tak, by dany projekt zyskał uznanie recenzentów i organów decydujących o przyznawaniu pieniędzy.

Po 2004 roku zaczęliśmy pisać strategie, stosować mierniki i kryteria oceny, rozbudowaliśmy sferę badań nad politykami publicznymi. Ale nie oznacza to, iż wiemy wiele więcej. Jeżeli zaś wiemy, to jest to raczej skutek uboczny – fakt, że większe finansowanie prac eksperckich owocuje gromadzeniem wiedzy i danych, które można stosować także wbrew pierwotnej intencji. Mimo to, nadal gromadzimy drobne puzzle, nie wiedząc, w jaki sposób je do siebie dopasowywać.

Brak szerszego obrazu

Konstruowanie szerszych obrazów odbywa się w intelektualnej próżni. Nawet w obiegu akademickim rzadko zdarza się, by dyskutowano jakąś szerszą monografię jako taką. Oficjalni recenzenci skupiają się na metodologii i detalach, dyskusje seminaryjne zaś albo na czczych pochwałach albo na „pretensjo-żalach" – o pominięcie ważnego tekstu, o lekceważenie dorobku i nie branie pod uwagę innych spojrzeń.

> **Gubimy szersze obrazy w każdej niemal sprawie. Koncentrujemy się na słownych lapsusach, medialnych prowokacjach, średnio istotnych danych. Komentujemy sondaże i rankingi, rzadko obserwując długie trendy**

W debatach pozbawionych sztywnego kontekstu naukowego jest niewiele lepiej. Najczęściej uznaje się, że „przecież ten ogólny obraz jest nam świetnie znany" albo też abdykuje się intelektualnie stwierdzając, że „podlega zbyt daleko idącym uproszczeniom publicystycznym". Taka uwaga oznacza zresztą najczęściej epitet. Publicystyka bowiem jest dyskredytowana nie tylko jako nienaukowa, ale z natury stronnicza i deformująca rzeczywistość. Tak czy inaczej – dyskutanci zwykle stronią od odniesienia się do prób konstruowania takiego obrazu, skupiając się na tym, do czego łatwo można się przyczepić, choć jest drobne, konkretne i często w ogóle nie warte uwagi.

Ostatnią deską ratunku mogłaby tu być tak zwana „debata publiczna", która ze swej natury zakłada uproszczenia. Tyle

tylko, że kładzie ona nacisk na łatwe i skrajne oceny. Ileż to razy dziennikarze telewizyjni pytają: „Czy to znaczy, że ostatnie ćwierćwiecze to okres stracony?", albo: „Czy zatem możemy nazwać Trzecią Rzeczpospolitą złotym okresem w historii Polski?". Rozmówca klei odpowiedź ze sloganów i bon motów, wiedząc, że wystarczyłoby odpowiedzieć „głosowałem na Bronisława Komorowskiego" lub „uważam, że Paweł Kukiz to jedyny uczciwy kandydat", bo tylko o to w gruncie rzeczy pyta dziennikarz, doskonale wiedzący, że jego pytania nie mają żadnego innego sensu. I że nigdy nie padłyby w tak zwanej prywatnej rozmowie.

Gubimy szersze obrazy w każdej niemal sprawie. Koncentrujemy się na słownych lapsusach, medialnych prowokacjach, średnio istotnych danych. Komentujemy sondaże i rankingi, rzadko obserwując długie trendy. Dla mediów każda informacja staje się ważna, gdy dodaje punktów PiS lub opozycji. W tej sytuacji jedynym szerszym kontekstem staje się rywalizacja polityczna między głównymi partiami. Nic zatem dziwnego, że od dziesięciu lat ten właśnie spór jest jedynym szerszym obrazem, jakim dysponuje polska polityka. Obrazem malowanym tendencyjnie i pod bieżące potrzeby.

Urzędowy optymizm

Trzecim czynnikiem, który wpływa na zagubienie się polskiej myśli eksperckiej jest, określony jako reguła gry przy tworzeniu strategii, urzędowy optymizm. Strategie te pisze się pomijając możliwość zaistnienia czarnych scenariuszy, czy choćby po prostu „gorszych wariantów", zakładając prawdziwość jednego tylko modelu rozwoju (choć uczestnicy gry doskonale znają inne, także te, których kiedyś byli zwolennikami). Opinie niepasujące do schematu są pomijane.

Co gorsza – wskutek lekceważącej istotne uwikłania aktorów i działania grup interesu „apolityczności" dyskursu – deliberacje strategiczne prowadzone są tak, jakbyśmy byli społecznością aniołów, kierujących się doskonałą racjonalnością. Racjonalnością nieuwikłaną w słabości rozumu czy interesowność. Choć polityka – nawet w jej normatywnym, ustrojowoprawnym ujęciu – jest grą interesów, prowadzoną w sposób, który nie pozwala wykluczyć patologii, to myślenie strategiczne stara się być od tego naturalnego kontekstu wolne. Nawet w tak prostej dziedzinie, jak gra między ośrodkami miejskimi o infrastrukturę, lokalizację instytucji, o środki materialne – oficjalne dokumenty prezentują już nie urzędowy optymizm, ale urzędową naiwność.

Gdyby zapytać jednak, jak będzie wyglądał ten czy inny program, gdy środki europejskie zostaną nagle istotnie ograniczone, gdy pojawią się zdarzenia międzynarodowe, które będą wymagały od nas zmiany strategii, usłyszymy jedno: „to wtedy się pomartwimy". Gdy pytamy ekspertów o możliwe negatywne skutki regulacji, zwykle spotykamy się z odmową odpowiedzi lub zarzutem – blokowania (czasami nawet interesownego) zmiany lub o podejście ideologiczne.

Choć wysłuchiwanie „adwokatów diabła", przeciwników lub krytyków wprowadzanej zmiany, zanim jeszcze podejmie się kroki legislacyjne czy organizacyjne, powinno należeć do naturalnych procedur redukujących ryzyko błędu, dziś debatą rządzi zasada odmienna. Co więcej, wpływa ona na zamykanie się instytucji i kręgów eksperckich przed wpływami z zewnątrz, które niosłyby ryzyko innego spojrzenia.

Bezwładne instytucje

Z wyżej wspomnianych powodów kluczową wadą naszego myślenia o politycznej przeszłości jest brak miejsc, w których może dokonywać się taka istotna synteza i w których mogą powstawać wersje alternatywne, krytyczne ujęcia itp. W tej chwili jest to jedna z najpoważniejszych luk instytucjonalnych. Premierzy rządzą bez zaplecza doradczego, nawet jeżeli zatrudniają doradców – to zwykle są to spin doktorzy. Gabinety polityczne ministrów są zaludnione asystentami o kompetencjach wyłącznie partyjnych lub z zakresu PR. Władze samorządowe unikają dyskusji o problemach miasta – w skrajnych przypadkach odmawiając nawet udziału w debatach podczas kampanii wyborczych.

Nawet jeżeli dochodzi do konfrontacji ekspertów – czego znakomitym przykładem była fascynująca debata toczona przy okazji OFE, w ramach której po raz pierwszy doszło do publicznej, ostrej konfrontacji „mainstreamowych" ekonomistów – to jest to wyjątek, zwykle obejmujący jakiś szczególnie kontrowersyjny fragment. Ale nigdy – całość systemu.

Świetnym przykładem tych słabości polskiego myślenia strategicznego jest kształt i sposób procedowania Narodowej Rady Rozwoju, którą już w początkach podzielono na „zespoły", osłabiające zdolność dokonywania syntezy. Sprawiono, że udziela ona tych odpowiedzi, które najłatwiej sformułować i które często są zadającym pytania dobrze znane. Nie wymusza konfrontacji różnych perspektyw „branżowych", analizy wzajemnych zależności. Jest to zaniedbanie tym istotniejsze, że – jak wskazują dotychczasowe fakty – może być jedynym ciałem eksperckim zdolnym formułować jakąkolwiek myśl strategiczną, niepodporządkowaną bieżącej taktyce PiS.

Wielki plan wicepremiera Morawieckiego został zredukowany do podporządkowanej logice rządowego spinu prezentacji slajdów. Bez wiary w to, że publiczna debata pozwoli go poprawić. Nie poddano pod dyskusję założeń intelektualnych, samego rdzenia projektu – uznając go za niepodlegający weryfikacji, a zatem zapewne nieomylny. Polskie władze zdają się kierować zasadą „no platform", stosowaną wobec wszystkich możliwych krytyków. Redukują do minimum poważną debatę w parlamencie i wzmacniają rytualny charakter procesu legislacyjnego, nie poddając pod dyskusję przede wszystkim założeń.

> **Gdy pytamy ekspertów o możliwe negatywne skutki regulacji, zwykle spotykamy się z odmową odpowiedzi lub zarzutem blokowania – (czasami nawet interesownego) zmiany lub o podejście ideologiczne**

Pole gry

Paradoksalnie – mimo wzrostu liczby publikowanych strategii, mimo rozwoju instytucji biorących pieniądze za organizowanie debaty publicznej, mimo ogromnych szans, jakie daje Internet – myślenie w kategoriach długofalowych jest dziś mniej popularne niż dwadzieścia lat temu. Pole gry o rzeczywiste strategie publiczne

jest zdezorganizowane. Liczą się na nim przede wszystkim politycy udający, iż posiadają wizję i eksperci technicy, od przekładów aktualnie modnych w Europie koncepcji na język pisanych strategii władz publicznych. Wartość tego sojuszu mierzy się zaś przede wszystkim ilością pozyskanych środków europejskich.

Na tym zdezorganizowanym polu think tanki nie mogą odegrać żadnej liczącej się roli. Nie wyprzedzą lobbystów, którzy dysponują ogromnymi środkami, by podsuwać politykom gotowe rozwiązania. Nie mają instytucjonalnych partnerów w polityce, którymi w innych systemach są „staffersi" parlamentarzystów, ludzie z gabinetów politycznych ministrów oraz redaktorzy poważnych pism. Nie mają środków finansowych, które dawałyby im niezależność, ani kultury pracy instytucji politycznych, która wymuszałaby rzeczowość i oryginalność propozycji.

Nie dysponując obrazem całości, wpadają w tę samą krótkowzroczność, w jakiej funkcjonuje polityka. Od skandalu do skandalu, od jednego modnego pojęcia do drugiego. Jak nie „smart city" to „partycypacja", jak nie „odpowiedzialna polityka monetarna" to „pułapka średniego wzrostu". Mechanizm polityczny nauczył się już ignorować uwagi z poziomu eksperckiego czy choćby formułowane przez ludzi z dużym doświadczeniem praktycznym, wprowadzając istotne rozwiązania bez debaty, bez oceny ryzyka i korekt, które osłabiłyby negatywne skutki. Dopóki rządzący nie zaczną zadawać pytań, a po stronie instytucji eksperckich nie pojawią się szerokie, dopracowane obrazy – ten intelektualny ping pong będzie trwał bezkarnie, bez większego wpływu na rzeczywistość.

Trudno jest oczekiwać, że to najsłabszy instytucjonalnie segment polskiej polityki, jakimi są niezależne od partii think tanki, stanie się kluczowym czynnikiem zmiany. Ale z drugiej strony – jeżeli nie on, to kto? Wbrew pozorom decyzja, by zmienić logikę własnego funkcjonowania i zabrać się za tworzenie szerokich panoram, obrazów całości jest dla tych instytucji ogromnym ryzykiem. Takich panoram, o ile nie mają być podstawą programów czy kampanii wyborczych, nikt nie zamówi. Ba – nie tylko nikt ich nie potrzebuje, ale wielu partnerom wydadzą się one wręcz szkodliwe. Podobnie nerwowo zareagują instytucje publiczne, którym przedłoży się propozycję szkicowania czarnych scenariuszy, czy niekompatybilnych z językiem unijnych strategii rozwiązań. „Nas rozliczają z ilości wykorzystanych środków, o tym co było sensowne dowiemy się za 20 lat" – słyszałem od najinteligentniejszych polityków szczebla regionalnego i lokalnego.

Działać pod prąd

Najtrudniej funkcjonuje się w intelektualnej próżni. Gdy formułowane tezy nie tylko nie znajdują zainteresowania, ale często są wręcz traktowane jako działania szkodliwe. Ten jednak, kto pierwszy zacznie działać pod prąd, ma szansę zgarnąć całą nagrodę, jaka przypadnie temu, kto odwrócił fatalny dla kraju trend. Wielokrotnie już myśl polityczna odradzała się w Polsce, pomimo panującego dookoła jałowego gadulstwa i wbrew niepodporządkowanej żadnemu dalekowzrocznemu celowi politycznej krzątaninie. Odwrócenie intelektualnego klimatu wydaje się bardzo trudne, zanim się tego dokona. Jednak potem, z perspektywy lat, zastanawiamy się, jak to możliwe, że do tej zmiany wystarczyło kilka książek, kilkadziesiąt numerów periodyku, kilka śmiałych politycznych pomysłów.

Lokalizm według Koraba-Karpowicza

Michał Kuź
Redaktor „Nowej Konfederacji”,
ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego,
doktor nauk politycznych

Państwo Karpowicza nie jest monadyczne i zamknięte, rozumie potrzebę współdziałania na arenie międzynarodowej, braterstwa ludzi, pomocy w chwili kryzysu i wyrzeka się modernistycznego militaryzmu

„Tractatus Politico-Philosophicus. Traktat polityczno-filozoficzny” – nową książkę W. Juliana Koraba-Karpowicza – można by zatytułować: „Filozofia a lokalizm”, wykłada ona bowiem nowy rodzaj myśli politycznej, kształtującej się poza tradycyjnie używanymi pojęciami i ideologiami oraz w opozycji do neoliberalnej, uniwersalistycznej narracji. Traktat stanowi przy tym oryginalny polski wkład w ów rzadki moment, gdy kształtuje się pewien większy, światowy prąd myślowy, i z wolna zaczyna zyskiwać samoświadomość. Zgodnie ze słynnym powiedzeniem Ghandiego, tego typu koncepcje zwykle najpierw są jednak ignorowane, potem wyśmiewane, potem krytykowane, a potem dopiero brane na poważnie.

Bezczelny filozof

Od co najmniej lat 70. XX w. zarówno prawe, jak i lewe skrzydło europejskiej filozofii politycznej coraz mniej wierzy w możliwość szczerego napisania traktatu. Lewica przy tym brnie coraz częściej w intertekstualność, a prawica w antykwaryczność. Tymczasem Korab-Karpowicz na dość jałowej ziemi filozofii politycznej przyjmuje postawę zupełnie naiwnego oracza i śmiało chwyta za pług, choć przecież chłopkiem roztropkiem wcale nie jest. Wręcz przeciwnie, doktoryzował się z zakresu filozofii na Oksfordzie, ma za sobą udaną karierę samorządowca, dyplomaty, przedsiębiorcy i dodatkowo dyplom inżyniera elektronika. Co więcej, wykładał między innymi w USA, Korei i Turcji, a teraz dzieli swój czas pomiędzy Warszawą a Dubajem.

Może to właśnie zróżnicowane doświadczenia sprawiły, że Korab-Karpowicz do cna wyzbył się kompleksów i po sokratejsku, demonstracyjnie postanowił odrzucić w swojej najnowszej książce kult eksperta. Rzec można, że to Max Kolonko polskiej filozofii. Z prowokacyjną szczerością przyznaje na wstępie, że dziękuje innym „autorom”, ale tylko za pomoc w ukształtowaniu „jego myśli politycznej”. Potem jest jeszcze ciekawiej: z Hobbesem i Machiavellim Korab-Karpowicz się „do

końca nie zgadza", ale jest wdzięczny za „polemikę z nimi". Natomiast „wywarli na niego wpływ" na przykład: Tukidydes, Platon, Arystoteles, Tomasz z Akwinu, Grocjusz, Locke a także Konfucjusz i Al-Farabi. Z polskich myślicieli „chciałby zaś szczególnie podziękować Bronisławowi Malinowskiemu, Feliksowi Konecznemu i Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi". Być może to ostatnie nazwisko jest w tym kontekście szczególnie znamienne. Bo choć Witkacy nie jest w tekście, poza wstępem, wspominany, to jego kult oryginalności, wybujała niezależność i pewność siebie wyczuwalne są niemal w każdym zdaniu.

Odczytuję książkę Karpowicza jako manifest lokalistyczny, który jest tym pełniejszy, że nie mówi on o jakimś zapiekłym esencjonalizmie czy skrajnym, cynicznym realizmie

W witkacowskim duchu Karpowicz nie będzie też nikogo zanudzał wieloma odniesieniami, tylko przedstawi wizję „dobrego państwa i społeczeństwa": tak po prostu, bezczelnie i bezceremonialnie. Zacznie od zupełnych podstaw, od tego, czym jest dla niego polityka, wywód będzie ciągnął aż do globalizacji i religii. A wszystko to poda w krótkich, twitterowych niemal, tezach, uporządkowanych w punkty i podpunkty ma modłę słynnego traktatu Wittgensteina. Do tego z myślą o obcojęzycznych czytelnikach Karpowicz pisze od razu w dwóch językach: po lewej po angielsku, a po prawej po polsku.

Takie podejście filozoficzne zostanie zapewne potraktowane przez wielu kolegów po fachu i wielu szarych czytelników jako przejaw oburzającej megalomanii. Myślę jednak, że jest to reakcja przez autora z góry przewidziana. Korab-Karpowicz to bezczelny filozof artysta. Podobnie jak Sokrates jest gzem, który tym razem chce nas obudzić z postmodernistycznej drzemki. Od razu chce pokazać czytelnikom, jak bardzo odzwyczaili się od samodzielnego myślenia, skoro nie potrafią sobie wyobrazić, że zamiast pisać setny raz o Hobbesie, ktoś na poważnie pisze we wstępie, że się z nim nie zgadza i ma własną „wizję".

Manifest lokalistyczny

Skąd jednak pewność, że Korab-Karpowicz nie zwariował? I że nie uzurpuje sobie prawa do oryginalności na równi z wielkimi filozofami bezpodstawnie? Cóż, pewności nigdy w tego typu kwestiach mieć nie można, bo filozofów od wariatów ostatecznie odróżnia historia. Myślę jednak, że nawet jeśli historia nie da mu sławy, to przyzna, że był częścią czegoś większego, a mianowicie próby filozoficznego odejścia od globalistycznego, neoliberalnego, czy też ponowoczesnego, uniwersalizmu bez oglądania się na marksizm, faszyzm i zaściankowy konserwatyzm. Wyjścia w świat nowy z pomocą platońskiej metody, czyli poprzez utworzenie nowego ideału dobrego państwa, który wydaje się konieczny, skoro globalna wioska staje się coraz większym koszmarem.

W tych poszukiwaniach jest oczywiście wiele banałów i mielizn. Nadal, na przykład, nie jestem do końca przekonany, czy filozof zawsze konsekwentnie posługuje

się pojęciami „kultura", „epoka" i „cywilizacja", oraz czy mariaż pojęciowy Konecznego z Huntingtonem jest w jego wykonaniu do końca udany. To jednak w gruncie rzeczy szczegóły. Największą wartością książki jest, przynajmniej dla mnie, to, że pozwala mi ona lepiej zdefiniować zjawiska, które sam intuicyjnie nazywam lokalizmem i globalizmem. Odczytuję bowiem książkę Karpowicza jako manifest lokalistyczny, który jest tym pełniejszy, że nie mówi on o jakimś zapiekłym esencjonalizmie czy skrajnym, cynicznym realizmie. Przyjmuje raczej za aksjomat, że choć ludzie muszą być solidarni w imię globalnych wyzwań, to muszą też być osobni w swoich większych i mniejszych wspólnotach, w imię „życia dobrego". A przecież jeszcze 25 lat temu, wobec upadku komunizmu i tez Fukuyamy, takie podejście wcale nie było oczywiste.

Centralna jest tutaj dla mnie teza różnorodności kulturowej, poprzedzona rozważaniami nad mocnymi i słabymi stronami marksowskiego podejścia krytycznego i teorii postmodernistycznego indywidualizmu. W największym skrócie, krytyka ta sprowadza się do obserwacji, że o ile słusznie marksizm dostrzegł zniewolenie w wyzysku, a postmodernizm w braku społecznej różnorodności, o tyle żaden z nich nie dostrzegł w pełni problemu zniewolenia, do którego może dojść w wyniku globalnego wyjaławiania się ludzkości, poprzez wyzbywanie się dających się odróżnić kultur oraz stanowiących ich nośniki narodów, państw i religii.

Tymczasem we wspomnianej tezie autor stwierdza z całą mocą: „Szczęście i pełny rozwój mogą ludzie osiągnąć w warunkach wolności i wynikającej z niej różnorodności. Należy utrzymać wielość państw i kultur. Ujednolicenie ludzkości jest sprzeczne z jej dążeniem do rozwoju".

Państwo Koraba-Karpowicza

Czy jednak ucieczką od jednego zniewolenia zawsze jest inny jego rodzaj? Rasowy filozof na tak postawione pytanie może odpowiedzieć tylko poprzez swoiste dopisanie ciągu dalszego do „Państwa" Platona, czyli zaproponowanie pewnego wzorca wspólnoty politycznej, który choć istnieć będzie tylko w filozoficznej mowie i nie powinien nigdy być na siłę narzucany rzeczywistości, to pozostaje jednak ogólnym drogowskazem dobra wspólnego.

Jakie jest więc owo państwo Koraba-Karpowicza? Po pierwsze, nie jest to państwo monadyczne i zamknięte, rozumie potrzebę współdziałania na arenie międzynarodowej, braterstwa ludzi, pomocy w chwili kryzysu. Wyrzeka się też modernistycznego militaryzmu i despotycznego „bizantynizmu" (jak to określa Korab-Karpowicz). Dąży do pokoju pomiędzy religiami i cywilizacjami. Jeśli w ostateczności prowadzi wojny, to nigdy na zasadzie konfliktu totalnego. Jednocześnie jednak rozumie, że działa w ramach systemu międzynarodowego, który nie może być w pełni oparty na ogólnej zgodzie i równości, bo faktycznie zawsze jest on hegemoniczny. Od aktualnego hegemona państwo jednak oczekuje „zacności" – tego, że w globalnych konfliktach przyjmie on postawę arbitra, opierającego władzę częściej na autorytecie niż na samej sile.

Wewnętrznie państwo rozumie zaś, że stabilność zapewnia tylko pewien konsensus dotyczący tego, co Karpowicz nazywa „rodzimokulturowością". Oznacza to, że dominująca kultura kształtuje politykę i jej symbole, ale podobnie jak globalny hegemon pozostawia też wolność poszukiwań i tolerancji w ramach dobra wspólnego. Szkodzi państwu natomiast traktowanie kultury dominującej, jako

chłopca do bicia w imię globalistycznego relatywizmu. Jak twierdzi filozof, suma takich rzekomo emancypujących działań coraz częściej może prowadzić do światowej redukcji „ludzi do takich samych jednostek, motywowanych w życiu jedynie prymitywnym pożądaniem. One bowiem stanowią idealnego konsumenta…".

Idealne państwo dostrzega konieczność aktywnej ochrony swoich obywateli przed biedą. Zdaniem Koraba-Karpowicza powinno to jednak czynić nie poprzez klasyczną biurokratyczną redystrybucję, ale poprzez zapewnianie powszechnego dostępu do kapitału

Idealne państwo dostrzega też konieczność aktywnej ochrony swoich obywateli przed biedą. Zdaniem Koraba-Karpowicza powinno to jednak czynić nie poprzez klasyczną biurokratyczną redystrybucję, ale poprzez zapewnianie powszechnego dostępu do kapitału. Widać w tym wyraźnie nawiązanie do ekonomii binarnej Luisa Kelso. Oznacza to bowiem, że wszyscy obywatele w pewnej mierze są przedsiębiorcami. Społeczeństwo idealne zachowuje jednak podziały klasowe, po arystotelesowsku opiera je jednak na różnicy cnót (dążeń życiowych), a nie na kastowości.

Wewnętrznie nowe państwo idealne rozumie, że usuwanie religii „z życia publicznego powoduje zubożenie sfery publicznej", ale nie broni też religii za cenę wspierania fanatyzmu i nietolerancji.

Jednocześnie jednak filozof stawia też tezy trudne, choć, jak się wydaje, uzasadnione zwłaszcza w kontekście ogromnej porażki arabskiej wiosny i obserwowanych obecnie negatywnych aspektów wędrówek ludów. Mówi, że im bardziej odmienne są kultury wewnątrz państwa, tym bardziej państwo musi uciekać się do dyktatorskiego przymusu, by istnieć. W niektórych przypadkach może to wręcz być „jedyna forma pokojowej współpracy", lepsza od pozornej demokracji, która przy braku konsensusu na poziomie kulturowym musi skończyć się wojną lub rewolucją. Przestrzega też, że o ile „osoba szlachetna może sobie pozwolić na to, aby zginąć w obronie swoich ideałów", o tyle „na taki czyn nie może sobie pozwolić żadne państwo".

Demokracja proceduralna, choć co do zasady pożądana, ma zaś dla Koraba-Karpowicza sens tylko przy szeroko rozumianej edukacji obywatelskiej i zgody, co do podstaw kulturowych. Takie podejście ma uszlachetniać demokrację zmieniając ją w coś, co filozof w duchu tradycji platońskiej nazywa „sofokracją" – rządami mądrych obywateli.

Realność idealizmu

Czy takie państwo może jednak choć w części zaistnieć? Cóż, Korab-Karpowicz sam przyznaje, że są pewne ograniczenia, które narzuca nam globalizacja. Stwierdza bowiem, co następuje:

> „Procesy globalizacyjne nie mogą być zatrzymane. To nieuniknione, że będziemy żyć w coraz bardziej powiązanym ze sobą świecie.
> Można za to uniknąć prezentacji globalizacji i idei postmodernistycznej

jako pozytywnych wartości normatywnych.

Twórcze rozwiązanie problemów współczesności i przekroczenie postmodernności polega na powrocie do tradycji klasycznej racjonalności".

Można się zżymać na banalność niektórych z tych tez i ogólną zwięzłość analizy przy niezwykle szerokim spektrum poruszonych tematów. Należy jednak przy tym pamiętać, że wielkie idee trafiają zwykle do szerszych odbiorców w takiej właśnie, dość zwięzłej formie. Korab-Karpowicz niewątpliwie czuje zaś, że rodzi się coś nowego i chce być tego czegoś akuszerem. Dostrzega, że neoliberalizm traci światowy rząd dusz, a zastępuje go pewien duch lokalizmu, o wielu, bardzo różnorodnych twarzach. Nie da się przy tym tak łatwo zakrzyczeć owego prądu, jako nowego wcielenia faszyzmu i wroga demokracji. „Reductio ad Hitlerum", podobne do tego, jakie na łamach „Gazety Wyborczej" uprawiała niedawno prof. Tokarska-Bakir, nie udaje się między innymi dlatego, że dojrzały lokalizm nie zasadza się na systemowej przemocy i militaryzmie jako podstawie sprawowania władzy.

Ma on coraz wyraźniejszą, własną wizję ładu wewnętrznego i międzynarodowego, który w teorii może obchodzić się bez przemocy, nawet w większym stopniu niż ład neoliberalny, a to dlatego, że przynajmniej normatywnie wyzbywa się kompleksów i zaściankowości. Wie, iż „solidarność globalna jest wynikiem istnienia braterstwa między ludźmi i jest wynikiem jedności, która powstaje z różnorodności".

Przenosząc te obserwacje na grunt polski można powiedzieć, że patriotyzm w wydaniu Koraba-Karpowicza odrobił lekcję ze Stanisława Brzozowskiego. Jest to więc patriotyzm mniej terytorialny, choć pojęcia państwa, jako zorganizowanego społeczeństwa posiadającego terytorium, zupełnie nie porzuca. Podobnie nie porzuca zakorzenienia i komunitarystycznego ciepła.

Szczególnie aktywne jednostki, jak zauważa Karpowicz, mogą wybrać „samotność, przygodę i życie ryzykowne, aby osiągnąć swe cele" i należy im na to pozwolić. Ludzie jako tacy chcą jednak w swej masie żyć wśród bliskich, w spokoju, dostatku i z perspektywą metafizycznego pocieszenia oraz moralnego wsparcia. A to znaczy tyle, że kierunek, w którym zmierza współczesny ład światowy, nie może już większości ludzi przynieść szczęścia. Korab-Karpowicz może wręcz za Zygmuntem Baumanem powtórzyć, że ponowoczesność to nasze główne źródło cierpień; a przecież obaj ci myśliciele pochodzą z biegunowo sobie przeciwnych obozów towarzysko-politycznych.

Oczywiście nie wszystkie karpowiczowskie recepty na te cierpienia są spójne. Kiedy jednak popatrzeć na hasła nowej generacji ruchów politycznych, od polskiego Kukiza, poprzez hiszpańskich Podemos na stronnikach Donalda Trumpa i Berniego Sandersa skończywszy, widać, że duch globalnych zmian będzie zbliżony do wizji Karpowicza. Marks i jego „Manifest komunistyczny" (też przecież zwięzły w formie i napisany z bezczelnym rozmachem) ostatecznie zawiódł. Neoliberalizm doszedł zaś chyba do granicy antropologicznej, która nie pozwala mu już dalej ludzi urynkawiać i uelastyczniać. Jak powiada zwięźle filozof: „Nie po to urodziliśmy się na Ziemi, aby stać się konsumentami lub bojownikami".

W. Julian Korab-Karpowicz, *Tractatus Politico-Philosophicus. Traktat polityczno-filozoficzny*, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2015, ss. 237.

Nieprzyczajony tygrys, nieukryty smok

Paweł Behrendt
Publicysta, tłumacz,
szef działu Aktualności portalu Konflikty.pl

Na obecnym etapie ciężko wyrokować, czy ChRL zdecyduje się na toczenie wojen zastępczych. Na razie skuteczniejsze i tańsze okazują się zachęty gospodarcze i działania niejawne, z cyberatakami na czele

Z pozoru lokalny spór, o rozsiane po Morzu Południowochińskim archipelagi, stał się w ostatnim czasie głównym problemem w stosunkach międzynarodowych w Azji, angażującym także coraz mocniej państwa spoza regionu. Tym samym Azja Południowo-Wschodnia odzyskała opinię regionu targanego konfliktami, oraz zdobyła większą uwagę mediów.

Głównymi uczestnikami sporu były początkowo głównie Chińska Republika Ludowa oraz Republika Chińska (Tajwan), Wietnam, Filipiny, Malezja i Brunei, z biegiem czasu włączyły się do niego jednak także Indonezja, Japonia, Australia i Stany Zjednoczone, a pośrednio także Indie, Wielka Brytania, Rosja i Nowa Zelandia. Przedmiotem sporu są setki małych wysepek, skał i raf, tworzących Wyspy Paracelskie (chiń. Xisha), Spratly (chiń. Nansha), Pratas orał Ławicę Scarborough. Dążenie do kontroli nad obiektami, które często nawet nie wystają ponad powierzchnię wody, i powoływanie się przy tym na wielowiekowe pretensje, wydaje się mało poważne. Przyczyny sporu są jednak jak najbardziej poważne.

Chińskie uderzenie w amerykański ład

Pod dnem morskim znajdują się niezbadane jeszcze złoża ropy naftowej i gazu ziemnego, oceniane, według najśmielszych szacunków, na ustępujące jedynie Zatoce Perskiej. Ponadto, przez wody Morza Południowochińskiego przebiega jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków morskich świata, a łączna wartość handlu morskiego na tym akwenie wynosi już pięć bilionów dolarów. Tamtędy przebiegają szlaki łączące Chiny i Japonię z Bliskim Wschodem, Afryką i Europą. Nic dziwnego zatem, że Chińczycy starają się uzyskać jak największą kontrolę nad akwenem. Zaowocowałaby ona jednak dominacją Chin w Azji Południowo-Wschodniej i poważnym wzmocnieniem ich pozycji na całym zachodnim Pacyfiku. Państwa regionu nie są zainteresowane chińską hegemonią, nie jest ona także w smak

Stanom Zjednoczonym i pozostałym mocarstwom.

Państwa regionu przypomniały sobie o wyspach w latach 60., aczkolwiek podstawę chińskich roszczeń obejmujących, w zależności od czasu 80-90% powierzchni akwenu, stanowi linia demarkacyjna, tzw. „9 dashed line", wytyczona jeszcze w latach 30. przez rząd Czang Kaj-szeka. Od tamtej pory spór raz przybierał, raz tracił na sile. Dochodziło nawet do starć zbrojnych, jak w 1974 roku, kiedy doszło do bitwy o Wyspy Paracelskie między ChRL a Wietnamem Południowym, czy w 1988 roku,

Wyspy Paracelskie mają dla ChRL o tyle duże znaczenie, że umożliwiają osłonę Hajnanu, gdzie znajduje się baza atomowych okrętów. Południowe wybrzeże od lat jest uważane za „miękkie podbrzusze" Chin

gdy okręty wietnamskie i chińskie starły się u brzegów Johnson South Reef. Obie próby sił wygrali Chińczycy, jednak z różnych względów nie mogli w tym czasie pójść za ciosem i rozstrzygnąć sporu na swoją korzyść. Mniejsze państwa wykorzystały sprzyjającą sytuację i wzmocniły własną pozycję. W latach 80. i 90. na niemal wszystkich nadających się pod zabudowę wyspach powstały posterunki obserwacyjne, a nawet nieduże forty. Malezyjczycy wybudowali na jednej z wysp lotnisko, zdolne do obsługi transportowych samolotów C-130 Hercules. Z większych wysp Chińczykom pozostała jedynie Yongxing, stanowiąca część Wysp Paracelskich, z liczącą kilkuset mieszkańców wioską Sansha. Według ostatnich wyliczeń Wietnam kontroluje 48 wysepek, Chiny i Filipiny po 8, Malezja 5, a Tajwan 1 (za to najsilniej umocnioną).

Niepożądana militaryzacja

W zaistniałej sytuacji Chiny musiały uciec się do innych sposobów dochodzenia swoich roszczeń. Przybrały one formę najpierw naruszania wód, uznawanych przez innych uczestników sporu za swoje terytorialne przez chińskich rybaków, którzy na całym świecie są znani z nieprzestrzegania podziału na wody międzynarodowe, terytorialne i wyłączne strefy ekonomiczne, co prowadzi do częstych starć ze strażami wybrzeża innych państw. Na Morzu Południowochińskim doprowadziło to do przydzielenia im ochrony chińskiej straży wybrzeża i prawdziwych bitew na armatki wodne z jednostkami innych państw. Analogiczne działania można było obserwować na Morzu Wschodniochińskim, w okresie nacjonalizacji przez Japonię spornych Wysp Senkaku. Działania te przyniosły efekt w postaci zwrócenia się Wietnamu o pomoc do USA, a w ostatnich miesiącach także poważnego zrażenia Indonezji, która dotychczas zachowywała neutralność w sporze.

Kolejnymi działaniami było ustanowienie na spornych obszarach prefektury w czerwcu 2012 roku. Dwa lata później na wodach, do których pretensje rości sobie Wietnam, pojawiła się chińska platforma wiertnicza HYSY 981. Powodem mogła być chęć zastraszenia państw regionu, lub skompromitowania USA, intensywnie już wówczas dążących do zbliżenia z Wietnamem. Władze w Hanoi

zachowały jednak zimną krew i kontratakowały w zaskakujący, i bardzo nieprzyjemny dla Pekinu, sposób. Już na pierwszych wietnamskich jednostkach, skierowanych w rejon platformy, znaleźli się dziennikarze, dokumentujący poczynania chińskich patrolowców, a w sieci zaczęły pojawiać się filmy i liczne zdjęcia z kolejnych incydentów. Tym samym Wietnam skutecznie wykorzystał masowe media do nagłośnienia sprawy w skali globalnej, rozpropagowania swojego punktu widzenia oraz przedstawienia Chin, jako złego mocarstwa, gnębiącego mniejszych i słabszych sąsiadów. Było to mocne uderzenie w lansowany przez Xi Jinpinga obraz ChRL, jako pokojowego mocarstwa. Kampania medialna zapewne nie była jedynym czynnikiem, który skłonił Pekin do wycofania się z akcji. Faktem pozostaje, że HYSY 981 została wycofana w połowie lipca, miesiąc przed zapowiadanym terminem.

Rychło jednak okazało się, że platforma wiertnicza służyła przede wszystkim odwróceniu uwagi od dużo bardziej niekonwencjonalnego i ambitnego projektu. W sytuacji, w której wszystkie większe wyspy są już zajęte, Chiny postanowiły zbudować nowe. Nie była to bynajmniej nowość, inni uczestnicy sporu również „poprawiali" zajmowane wysepki, pozostaje jednak kwestia skali. Chińskie prace nad sztucznymi wyspami charakteryzują się olbrzymim rozmachem. Na trzech spośród 5 lub 6 już ukończonych wysp powstają lotniska (jedno już ukończone), zdolne do przyjmowania dowolnych typów samolotów wojskowych i cywilnych. Zaobserwowano także prace nad głębokowodnymi portami i siecią stanowisk radarów. Działania militaryzacyjne koncentrują się wokół Woody Island, jednej z Wysp Paracelskich. W połowie lutego zaobserwowano tam 2 baterie systemu przeciwlotniczego dalekiego zasięgu HQ-9, kilka dni później myśliwce J-11 i JH-7. W marcu pojawiły się wyrzutnie pocisków przeciwokrętowych YJ-62, a według Pentagonu na wyspie stacjonuje 16 myśliwców J-11. W odpowiedzi na krytykę ze strony państw regionu i USA, Chiny stwierdziły, że na wyspach instalowane są jedynie systemy obronne, czego nie można uznać za militaryzację regionu. W lutym, podczas wizyty w Waszyngtonie, prezydent ChRL Xi Jinping zadeklarował, że Pekin jest przeciwny militaryzacji Morza Południowochińskiego. Po raz kolejny Pekin i Waszyngton okazały się mieć odmienne rozumienie różnych pojęć. HQ-9 nie można odmówić bycia systemem defensywnym, jednak zasięg rakiet (300 km) w panującej na Morzu Południowochińskim sytuacji musi budzić niepokój.

Wybór Woody Island nie był przypadkowy; wyspa jest położona w archipelagu Paracelskim, do którego pretensje oprócz ChRL zgłaszają jedynie Tajwan i Wietnam. Tym samym rozmieszczenie systemu przeciwlotniczego dalekiego zasięgu ma mniejszy ciężar gatunkowy, niż gdyby zrobiono to na Wyspach Spratly. Sama wyspa została zajęta przez Chiny jeszcze w roku 1956, od lat istniał tam port, a już w 1990 roku powstało lotnisko. Wyspy Paracelskie mają dla ChRL o tyle duże znaczenie, że umożliwiają osłonę Hajnanu, gdzie znajduje się baza atomowych okrętów. Południowe wybrzeże od lat jest uważane za „miękkie podbrzusze" Chin i dowództwo Chińskiej Armii Ludowej jest zdeterminowane zmienić ten stan. Równie duży niepokój budzą wspomniane wyżej stacje radarowe. To oznacza już poważne przygotowania Chin, do co najmniej monitoringu ruchu powietrznego w regionie, a powszechnie jest przyjmo-

wane, że jest to wstęp do ustanowienia strefy identyfikacji obrony powietrznej (ADIZ) na Morzu Południowochińskim.

Wątpliwi partnerzy

Stany Zjednoczone wpadły jedynie na dwa pomysły, jak skontrować chińskie działania. Pierwszym, pozornie łatwiejszym, było zbieranie w większy sojusz państw regionu skonfliktowanych z Chinami, drugim przeprowadzanie tzw. operacji swobody żeglugi (FONOP). Pierwsza z nich miała miejsce w połowie ubiegłego roku. Powtarzane, co kilka miesięcy, rejsy okrętów i przeloty samolotów nad obszarami zajmowanymi przez Chiny nie przyniosły wyraźnego rezultatu, chyba, że za taki uznać rozbudowę chińskiego zaplecza militarnego. Wizyta sekretarza obrony Asha Cartera, na lotniskowcu USS John C. Stennis, w trakcie rejsu okrętu przez Morze Południowochińskie, miała jednakże bez wątpienia swój ciężar gatunkowy. Również amerykańska ofensywa dyplomatyczna nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Skonfliktowane z Chinami Japonia i Wietnam chętnie zgodziły się na współpracę, o wiele trudniej było skłonić do tego Koreą Południową. Do prowizorycznego sojuszu udało się włączyć jeszcze Wielką Brytanię, Australię i Nową Zelandię. Duże nadzieje wiązano w Waszyngtonie z Indiami, największym rywalem Chin w Azji. Okazało się jednak, że Nowe Delhi chętnie przyjmie wsparcie USA w swoich rozgrywkach z Pekinem, ale zamierza je prowadzić na własnych warunkach.

Szczyt USA-ASEAN, który odbył się w lutym w Sunnylands w Kalifornii, wyraźnie ukazał panujące w Azji Południowo-Wschodniej tendencje. Zgodnie z przewidywaniami Kambodża i Laos pozostały w orbicie chińskich wpływów, a co gorsza, w deklaracji końcowej zabrakło jakiegokolwiek odniesienia do Chin i kwestii Morza Południowochińskiego. Przywódcy ASEAN byli dużo bardziej zainteresowani sprawami gospodarczymi. Singapur, Indonezja i Tajlandia dążą do lepszej koordynacji gospodarczego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w regionie. Spośród dziesięciu członków ASEAN, czterech (Brunei, Malezja, Singapur i Wietnam) jest już członkami TPP, a kolejnych trzech (Filipiny, Indonezja i Tajlandia) wyraża zainteresowanie dołączeniem do porozumienia. Prawdopodobnie przywódcy tych państw uznali, że zacieśnianie współpracy ekonomicznej, i wzmocnienie tym samym własnych gospodarek, skuteczniej ograniczy chińskie wpływy niż operacje FONOP i rotacyjna obecność amerykańskich wojsk. Zaniepokojenie chińskimi działaniami pojawiło się dopiero w oświadczeniu po późniejszym o dwa tygodnie spotkaniu ministrów spraw zagranicznych ASEAN. Nie przeszkadza to jednak państwom regionu dbać o jak najlepsze stosunki gospodarcze z ChRL. Warto dodać, że podczas swojego wystąpienia na ceremonii podpisania TPP, premier Japonii Shinzō Abe

> **Działania Chin wywołały poważne zaniepokojenie na Kremlu. Chcąc uniknąć zdominowania przez coraz silniejszego sąsiada, Rosja zaczęła zacieśniać stosunki z państwami ASEAN**

wyraził nadzieję na jak najszybsze dołączenie Chin do układu.

Działania Chin wywołały także poważne zaniepokojenie na Kremlu. Chcąc uniknąć zdominowania przez coraz silniejszego sąsiada, Rosja zaczęła zacieśniać stosunki z Wietnamem. Obustronne kroki są na razie ostrożne, chociaż Hanoi widzi w Moskwie partnera zdolnego spowolnić ekspansję Pekinu. W ostatnich tygodniach Rosja zaczęła intensyfikować swoje relacje z całym ASEAN. Innym frontem, na którym kremlowska dyplomacja usiłuje podejmować ofensywne działania, aczkolwiek z miernym skutkiem, są Japonia i Korea Południowa. Jednocześnie wzajemne powiązania między Moskwą a Pekiem są na tyle silne, że Rosja nie występuje otwarcie przeciwko Chinom. W trakcie ostatniego spotkania z dziennikarzami z Chin, Japonii i Mongolii, szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow opowiedział się przeciwko umiędzynarodawianiu sporu na Morzu Południowochińskim i za dążeniem do jego rozwiązania na drodze dialogu.

Brak strategii

W środowisku amerykańskich *think tanków* coraz donośniejsze są głosy o fiasku dotychczasowej polityki względem Chin. W analogicznym sporze o Wyspy Senkaku doszło do pewnej stabilizacji. Jej główną przyczyną nie są jednak amerykańskie działania, ale siła i determinacja władz w Tokio, zdolnych do samodzielnej obrony swoich interesów. Nie bez znaczenia może być też fakt, że podobnie jak w wypadku chińskich przywódców, umysły japońskich liderów są kształtowane grą w go, a nie szachy, co pozwala sprawniej reagować na niestandardowe zagrywki Pekinu.

Czy jest prawdopodobny zatem wybuch „gorącej wojny" między USA i ChRL? W najbliższym czasie raczej nie, Pekin i Waszyngton dość zgodnie uciszają zbyt wojowniczych wojskowych. Z drugiej strony, nigdy nie można wykluczyć eskalacji spowodowanej przypadkowym wydarzeniem. Prawdziwym koszmarem dla Pentagonu jest przykładowo sytuacja dochodzenia do wybuchu konfliktu między Tajwanem, a którymś z innych amerykańskich

> **Jak już 20 lat temu prognozował Samuel Huntington, Chiny są w stanie zaoferować państwom regionu tak duże korzyści, że te same porzucą Waszyngton i uznają zwierzchność Państwa Środka**

sojuszników i wystąpienie Chin „w obronie" Tajpej. Konfliktu na pełną skalę nie wykluczają także Chińczycy, zastrzegając przy tym, że równie prawdopodobnym przeciwnikiem może być Rosja. Amerykańska polityka znalazła się obecnie na rozdrożu: Chiny otwarcie rzucają wyzwanie dominacji Stanów Zjednoczonych, może jeszcze nie w skali całego globu, ale na pewno w Azji i na zachodnim Pacyfiku. Popularne zresztą staje się wyszukiwanie analogii z drogą USA do potęgi. Morze Południowochińskie jest w tym wypadku traktowane jako odpowiednik Morza Karaibskiego: Stany Zjednoczone rozpoczęły swój marsz ku globalnej hegemonii od zdominowania Karaibów. Mając tak zabezpieczone tyły, mogły stawiać sobie coraz śmielsze wyzwania.

Morska odnoga jedwabnego szlaku

Dla Chin Morze Południowochińskie ma jeszcze inne, olbrzymie znaczenie – jest punktem wyjściowym morskiej odnogi nowego jedwabnego szlaku. Ten niezwykle ambitny projekt, mający usprawnić przepływ towarów między Chinami a Europą, stał się sztandarowym elementem chińskiej polityki zewnętrznej. Pomijana zwykle w Polsce nitka morska ma jednak olbrzymie znaczenie, i staje się główną osią rywalizacji chińsko-indyjskiej. Dla Indii, uważających Ocean Indyjski za swoje podwórko, „panoszenie" się tam Chińczyków jest nie do przyjęcia. Coraz większą popularność zdobywa koncepcja zbliżającej się zimnej wojny 2.0. Będzie ona jednak zupełnie inna od rywalizacji Wschód-Zachód. W Azji Wschodniej powoli krystalizuje się podział na obóz proamerykański i prochiński. Sojusznicy USA to bardzo niejednorodna grupa, w której poszczególne państwa często mają sprzeczne interesy, własne ambicje i wzajemne animozje, utrudniające formowanie zwartego frontu. Ponadto, jak już 20 lat temu prognozował Samuel Huntington, Chiny są w stanie zaoferować państwom regionu tak duże korzyści, że te same porzucą Waszyngton i uznają zwierzchność Państwa Środka. Wszystko pozostaje kwestią odpowiedniego rozegrania sprawy. Mimo asertywnego i momentami aroganckiego postępowania Chin, scenariusz ten zdaje się spełniać na naszych oczach. Na obecnym etapie ciężko wyrokować, czy ChRL zdecyduje się na toczenie wojen zastępczych. Na razie skuteczniejsze i tańsze okazują się zachęty gospodarcze i działania niejawne, z cyberatakami na czele. Kolejnym problemem pozostaje Korea Północna. W ostatnich miesiącach irytacja Pekinu na postępowanie Pjongjangu osiągnęła tak wysoki poziom, że zgodził się on podjąć współpracę z Waszyngtonem. Jest to kolejny przykład dwutorowości stosunków chińsko-amerykańskich. Z jednej strony jest bezwzględna rywalizacja, z drugiej coraz głębsze powiązania, prowadzące nawet do ukucia terminu „Chinameryka".

Zachowanie status quo

Wśród analityków i obserwatorów panuje dość zgodna opinia, że w ciągu najbliższych miesięcy na Morzu Południowochińskim niewiele się zmieni. Chiny nadal będą budować strefę identyfikacji obrony powietrznej (ADIZ), którą zapewne uda im się do 2017 r. ukończyć. Z kolei Stany Zjednoczone będą nadal przeprowadzać operacje swobody żeglugi (FONOP). USA mają zresztą obecnie wiele innych problemów poza Chinami, włącznie ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi, które odciągają uwagę amerykańskiej administracji od Azji. Pekin doskonale zdaje sobie z tego sprawę i w pełni to wykorzystuje.

Niemiecka demografia szansą dla Polski

Mateusz Łakomy
Przewodniczący Komisji Spraw Narodowościowych
i Demograficznych Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego

Udział w odwróceniu trendów demograficznych w różnej formie może mieć każdy. Zatem wszystkie ręce na pokład. W naszym dobrze pojętym interesie

Demografia znacznie osłabia potencjał geopolityczny Niemiec. Tworzy to dla Polski szansę na wzmocnienie swojej pozycji na Równinie Europejskiej i wyjście z historycznych kleszczy między Berlinem a Moskwą.

Niemcy gasnące

Demografia wpływa na potencjał geopolityczny państw powoli, jak ruchy górotwórcze. Jej oddziaływania nie widać z dnia na dzień, ale analiza dekady po dekadzie pokazuje, że jej wpływ staje się aż nader widoczny. Projekcja na kilka dziesięcioleci do przodu pozwala wykazać, że Niemcy, próbując uniknąć pułapki demograficznej, wpadają w pułapkę dezintegracji.

Prognozy rozwoju demograficznego Niemiec rysują następujący scenariusz: z powodu niskiej dzietności liczba mieszkańców będzie spadać. Szczyt liczby ludności, wynoszący 82,5 mln, Niemcy osiągnęły w 2002 roku. Najbardziej optymistyczne prognozy wskazują na spadek łącznej liczby ludności do poziomu 72 mln w 2060 roku, i to uwzględniając potencjalny napływ – według oficjalnych szacunków – dodatkowych 11 mln imigrantów. Jeśli nic się nie zmieni, w roku 2100 Niemcy będą liczyły najwyżej 63 mln mieszkańców, a w 2200 już tylko 49 mln. Pułapka demograficzna ma jednak dwa wymiary. Tym drugim wymiarem jest szybkie starzenie się społeczeństwa. Dziś osoby w wieku 65+ to 21% ludności, w roku 2060 w tym wieku będzie już co trzeci mieszkaniec Niemiec.

Pułapka demograficzna będzie dusiła niemiecką gospodarkę. Pierwszą przyczyną będzie wzrost kosztów emerytur i ochrony zdrowia. Te wydatki nie stanowią inwestycji stymulującej rozwój gospodarki tylko konsumpcję, na którą potrzebne są środki. A zatem trzeba będzie znaleźć pieniądze podwyższając podatki, dokonując cięć w budżecie, albo poprzez dodatkowe zadłużenie. Wpływy podatkowe rosną, gdy rośnie produkcja, a tymczasem spadek liczby młodych spowoduje spadek liczby pracowników i konsumentów, co

z kolei będzie wpływało na spadek popytu wewnętrznego. Starzenie się to też zmniejszanie się dostępności kapitału. Kapitał lubi wysokie stopy zwrotu, a kraj ludzi starych inwestuje mało i stopy zwrotu są w nim niskie – zatem kapitał zacznie szukać atrakcyjniejszych lokalizacji. Dodatkowo, na mniejszą dostępność kapitału dla przedsiębiorstw wpływać będzie spodziewany wzrost podatków i emisji obligacji przez państwo. Braki kapitałowe prowadzą do spadku innowacyjności, a to z kolei do spadku konkurencyjności.

Spadek potencjału gospodarczego i politycznego to jeszcze nie wszystko. Niemcy wymierają jako naród

Spowoduje to stopniowe wypychanie niemieckich firm ze światowych rynków, ale niektóre z nich, chcące zachować konkurencyjność, przeniosą coraz więcej swoich kluczowych procesów do krajów bardziej perspektywicznych. Inne, próbując ratować rentowność, będą redukowały koszty, ograniczały zakres działalności lub sprzedawały swoje zagraniczne spółki córki, inne wreszcie nie wytrzymają rosnącej konkurencji i upadną lub zostaną sprzedane zagranicznym inwestorom. Brak pieniędzy w budżecie zwiększy presję na wzrost zadłużenia zagranicznego oraz na cięcia w wielu obszarach, m.in. wydatkach zbrojeniowych, infrastrukturalnych czy na świadczenia społeczne.

Te procesy – chcąc nie chcąc – będą miały wpływ na geopolityczną pozycję Niemiec, które – mając coraz mniej narzędzi oddziaływania na otoczenie – będą się coraz mniej liczyły w układzie sił w Europie. Kraj, który był głównym rozgrywającym w UE i ratowniczym euro oraz Grecji, sam będzie w coraz większym stopniu podlegał zewnętrznym wpływom, choćby ze strony krajów, które będą chciały pożyczać niemieckiemu fiskusowi pieniądze lub które będą wykupowały dawne perły niemieckiej gospodarki.

Spadek potencjału gospodarczego i politycznego to jeszcze nie wszystko. Niemcy wymierają jako naród. Utrzymująca się od 1970 roku średnia dzietność na poziomie 1,4 dała Republice Federalnej palmę niechlubnego lidera w tym wymiarze na świecie. Rodowite Niemki mają jednak dzietność jeszcze o blisko pół dziecka mniejszą niż cudzoziemki, co powoduje, że rzeczywista dzietność rdzennych Niemców wynosi zaledwie 1,3. Demograf Francesco Billari wyliczył, że przy utrzymującej się dzietności na tym poziomie, w przeciągu tylko 44,3 lat liczba ludności zmniejsza się o połowę. Jednoczesny napływ imigrantów powoduje, że ich pełna integracja staje się coraz trudniejsza, jeśli nie niemożliwa. Zatem za zachodnią granicą Polski następuje powolna podmiana ludności. Rodowici Niemcy stopniowo będą stawać się mniejszością we własnym kraju.

Niemcy walczące

Niemcy jednak nie chcą przyjąć tego scenariusza do wiadomości. Nie mówi się za Odrą o pobudzaniu dzietności, tylko o wydłużaniu wieku emerytalnego, zwiększaniu zatrudnienia kobiet, wzroście produktywności i ściąganiu do kraju imigrantów o odpowiednich kwalifikacjach. Wybór drogi imigracji na taką skalę oznacza, że Niemcy nie ratują już Niemców jako na-

rodu, starają się jedynie ratować niemieckie państwo.

Liczba imigrantów, których należałoby ściągnąć do Niemiec, by wypełnić demograficzną lukę, jest ogromna. Szacunki BCG wskazują, że już w 2030 na niemieckim rynku pracy brakować będzie 10 milionów ludzi. Jeden z najwybitniejszych niemieckich ekonomistów, Hans-Werner Sinn szacuje, że dla utrzymania stabilności systemu emerytalnego potrzebne by były 32 (!) miliony imigrantów. Tymczasem w Europie już dawno nie ma nadwyżek demograficznych. Niemcy przespały swoją szansę, by uszczknąć coś z nadwyżek krajów Europy Środkowo-Wschodniej, gdy ruszyła fala migracji po rozszerzeniu UE. Mimo intensyfikacji starań w ostatnich latach o pozyskanie migrantów z tego rejonu, w Niemczech nie ma złudzeń, że Polacy, Litwini czy Rumuni zasypią demograficzną dziurę. Wśród niemieckich instytutów badawczych już całkiem głośno stawia się tezę, że nadszedł czas Azji i Afryki.

Przyjęcie imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej można zatem odczytać jako wykorzystanie okazji, by szybko uzupełnić niedobory. Brak alternatyw pomaga częściowo zaakceptować ryzyko przenikania do Niemiec wraz z falą uchodźców terrorystów i pospolitych przestępców. Osądzanie niemieckich decydentów od czci i wiary za podjęcie tej decyzji jest jednak nieco przedwczesne. Niemcy przyjmując imigrantów rozpoczęły ryzykowną grę, która daje jednak cień szansy na powodzenie. Szansa ta jednak nie tkwi w tych, którzy obecnie napływają do Niemiec. Są to w większości funkcjonalni analfabeci, których nie sposób wykorzystać w roli fachowców w przemyśle. Ich dzieci i wnuki natomiast można wysłać do szkoły i uczynić w pełni produktywnymi obywatelami. Kluczem do ewentualnego sukcesu tej koncepcji może być program łączenia rodzin oraz kosztowne programy integracyjne. W tym celu Niemcy w ostatnich latach zmieniali prawo i wzmacniali instytucje. Tymczasem presja czasu jest duża. Postępujące starzenie się społeczeństwa już za kilka lat da o sobie znać i na programy integracyjne może zabraknąć środków. Dziś Niemcy są na szczycie swoich możliwości gospodarczych. Jeśli integracja imigrantów i zrobienie z nich „fachowców" ma się więc udać, Niemcy muszą działać szybko.

Niestety, na drodze sukcesu stoi kilka poważnych przeszkód. Po pierwsze, nie ma konsensusu wśród elit politycznych odnośnie polityki imigracyjnej. Po drugie, imigranci po dłuższym pobycie dostosowują się do dzietności kraju przyjazdu. Kiedy w 1961 roku Niemcy zaczęli sprowadzać pracowników z Turcji, dzietność w Turcji wynosiła ponad 6 dzieci na kobietę. Dziś dzietność ich potomków żyjących w Niemczech wynosi 1,6. Zatem w drugiej połowie XXI wieku potrzebne będą kolejne miliony imigrantów, a jedynym miejscem na świecie, które w tym czasie będzie miało nadwyżki demograficzne, będzie Afryka. Jeszcze większy dystans kulturowy i cywilizacyjny pogorszą możliwości integracyjne. Niemcy w wieku XXII będą zatem podobni do Rzymian z wieku VI i na własne oczy będą mogli zaobserwować, jak będąca na niższym poziomie cywilizacyjnym ludność napływowa rozdeptuje pamiątki po dawnej świetności.

Czy zatem marginalizacja Niemiec to tylko kwestia czasu? Niekoniecznie. Niemcy mają jeszcze jedną szansę na odwrócenie niekorzystnych demograficznych trendów, która wykrystalizuje się w najbliższych latach.

Upadek Rosji umożliwi pozyskanie imigrantów?

Fundamenty rosyjskiej gospodarki, opartej o surowce, są bardzo słabe. Niskie ceny węglowodorów oraz dążenia odbiorców surowców zza Uralu do uniezależnienia się od dostaw z Moskwy, choćby poprzez terminale LNG, poważnie uderzają w stabilność rosyjskiej gospodarki. Zagraża to Rosji katastrofą potencjałową i rozpadem. Implozja liczącej 145 mln mieszkańców Rosji może umożliwić masową emigrację młodych Rosjan do Zachodniej Europy, szczególnie do Niemiec. Rosjan będzie łatwiej zintegrować, nie zagrażają stabilności Niemiec, a ich liczba wystarczy, by zaspokoić potrzeby niemieckiego przemysłu. Jest to jednak dość niepewna gra. Rosja historycznie wykazywała duże zdolności do przetrwania ekonomicznych kryzysów, ale tym razem może to nie wystarczyć: niedoinwestowana, starzejąca się infrastruktura oraz coraz trudniej dostępne nowe złoża powodują, że dalsze opieranie się na eksporcie surowców rokuje słabe perspektywy, jako fundament modelu gospodarczego państwa.

Pozyskanie części rosyjskiej populacji dałoby zresztą tylko chwilowe wytchnienie. W dłuższej perspektywie nie ma odwrotu od wzrostu dzietności.

Pięć minut Polski

Niemiecka lekcja demograficzna pokazuje, że przed Polską leży kij i marchewka. „Kijek" dlatego, że przy braku głębokich zmian Polska podąży scenariuszem Niemiec, wyludniając się lub będąc zasiedloną przez ludy pozaeuropejskie. „Marchewka" natomiast wynika z prawdopodobnej porażki niemieckiej próby zastąpienia braku dzieci imigrantami. Stworzy to na północ od Alp nową sytuację geopolityczną, dając Polsce szansę na wyraźną poprawę swojej pozycji.

Sytuacja demograficzna Polski nie jest dobra, ale jest odwracalna. Demograficznie Polska ma 20 lat przewagi nad Niemcami i właśnie wkracza w okres, w którym najliczniejsze roczniki są u szczytu produktywności. Demografia zapewnia zatem Polsce środki na finansowanie reform jeszcze przez najbliższe kilkanaście lat, ale kluczowe dla sukcesu będą lata najbliższe. Zatem jest to obecnie te pięć minut Polski, w czasie których należy dokonać zmian.

> **Czy zatem marginalizacja Niemiec to tylko kwestia czasu? Niekoniecznie. Niemcy mają jeszcze jedną szansę na odwrócenie niekorzystnych demograficznych trendów, która wykrystalizuje się w najbliższych latach**

Dla wykorzystania tej historycznej szansy transformacja musi sięgnąć głęboko, dotykając fundamentów modelu gospodarczego i społecznego kraju, choć w swojej skali będzie mniejsza i łagodniejsza społecznie niż reformy gospodarcze po upadku systemu komunistycznego. Dla sukcesu potrzebne są działania w czterech kierunkach. Pierwszym jest odważna polityka pronatalistyczna, umożliwiająca zwiększenie dzietności do poziomu zastępowalności pokoleń, co wydaje się być

w zasięgu. Program Rodzina 500+ jest jedynie jednym z wielu narzędzi. Potrzebne są także zmiany w systemie emerytalnym, by łączył świadczenia z liczbą posiadanych dzieci, czy w rynku pracy, by dostosował się do potrzeb kobiet chcących łączyć pracę z rodziną.

Kolejne zmiany konieczne są w wymiarze cywilizacyjnym, dotyczącym systemu wartości, by był bardziej przyjazny ideom sprzyjającym posiadaniu dzieci, oraz w świadomości społecznej. Kolejnym kierunkiem jest ściągnięcie do Polski zbliżonych cywilizacyjnie Ukraińców i Białorusinów, urodzonych w latach 1990–2015, którzy zasypią brakujące urodzenia w tych rocznikach w Polsce. Czwartym kierunkiem wreszcie jest wyjście z aktualnej zależności gospodarczej i politycznej od krajów zachodnich, w szczególności Niemiec. Blisko połowa polskiego PKB pochodzi z eksportu, z czego trzy czwarte do krajów UE, stamtąd pochodzą też inwestycje, dotacje i technologie. Daje to pole krajom Unii, a zwłaszcza Berlinowi, do wywierania nacisków. Z powodów demograficznych już niedługo rynek ten zacznie tracić na atrakcyjności, a obecne źródła zachodniego kapitału wysychać. Konieczna jest zatem dywersyfikacja i szukanie szans w relacjach m.in. z krajami wschodzącymi w Azji i Afryce. Należy także rozwijać krajowy kapitał, do czego rimlandowa geografia Polski daje bardzo dobrą bazę. Aktualnie kapitał wypracowywany w Polsce wypływa z niej szerokim strumieniem do spółek matek zagranicznych inwestorów. Należy zatem polonizować branże szczególnie intensywnie, generujące kapitał, jak np. bankowość, oraz rozwijać krajową bazę innowacyjnych technologii.

Zmiany te stworzą fundamenty pod rozwój potencjału, który spowoduje wzrost znaczenia geopolitycznego Polski. Będzie on widoczny tym bardziej, im bardziej słabnąć będą starzejące się kraje Europy Zachodniej. Polska będzie mogła rosnąć – jako gospodarka, źródło kapitału, inwestycji, rynek zbytu oraz atrakcyjne miejsce imigracji. Zwiększy to jej zdolność do wywierania wpływu politycznego, a z czasem umożliwi dołączenie do klubu krajów decydujących o polityce Europy, z naturalnym mandatem do przewodzenia Europie Środkowej i Wschodniej.

To wszystko jednak jest warunkowe i zależy od skuteczności zmian. Zasadnicze znaczenie będzie miał zapowiadany kompleksowy program demograficzny, ale na nim nie można poprzestać. Udział w odwróceniu trendów demograficznych w różnej formie może mieć każdy. Biznes i związki zawodowe poprzez tworzenie sprzyjających warunków dla kobiet, chcących łączyć pracę z posiadaniem dzieci, NGO, artyści media w tworzeniu atrakcyjnego wizerunku rodziny, w tym rodziny z kilkorgiem dzieci, a rodzice poświęcając więcej uwagi sobie nawzajem i swoim pociechom, by te od wczesnej młodości nasiąkały wartościami rodzinnymi. Rzeczy wielkie to suma rzeczy małych. Zatem wszystkie ręce na pokład. W naszym dobrze pojętym interesie.

Nie-Boska Liturgia

Krzysztof Wołodźko
Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Batushka mogłaby grać ścieżkę dźwiękową do historii wschodnich sekt, takich jak filipowcy duszący małe dzieci, „by umarły w chwale”. Przedrzeźnianie prawosławnego misterium może mieć poważniejszy cel

Peccatum lex est („grzech jest prawem”) wita ikonografika na stronie Witching Hour Productions, białostockiego wydawcy albumu „Litourgiya” projektu Batushka: enigmatycznej grupy, w skład której wchodzą ponoć muzycy znanych i uznanych kapel radykalnej sceny metalowej. Batiuszka (nieszczęsny polski obyczaj zapisywania z angielska słów rosyjskich!) to ojciec, czy nawet poufalej: ojczulek – prawosławny duchowny lub mnich. Zespół upodobał sobie metalowe granie w prawosławnej oprawie. Niewtajemniczeni początkowo mieli nadzieję, że być może jest to coś w rodzaju wschodniochrześcijańskiego 2Tm2,3. Bliższe przyjrzenie się inicjatywie rozwiewa wątpliwości: zespół wykorzystuje elementy liturgiczne, nie traktując ich dosłownie. Pytanie tylko – czy muzycy traktują je jako sztafaż, czy wierzą w swoje bluźnierstwa?

Diabolus in musica

Zanim zajmiemy się samym Ojczulkiem, warto spojrzeć na szerszy kontekst. Sprawa nie jest nowa. Muzyka metalowa od swoich początków bywa medium blasfemicznym: od brodatego kozła Venom do podpaleń kościołów i zabójstw w Norwegii w latach 90. XX wieku, od diabła, jako maskotki New Wave of British Heavy Metal przez Mercyful Fate i Kinga Diamonda, do perwersji Marilyn Mansona i łączenia lesbijskiego seksu z krzyżem na albumie „Bloody kisses” Type O’Negative. Gdy spojrzeć szerzej – pomijając jałowy spór między tymi, którzy uważają, że „cała popkultura w złym leży”, a tymi, którzy naiwnie wierzą, że nic gorszego od „jasełkowego satanizmu” się nie zdarza – kultura masowa pełna jest kwiatów zła: występują w niej zarówno ezoteryzmy na miarę „łagodnej konspiracji” New Age, jak i neopogańskie sojusze krwi, rasy i rekonstruowanych wierzeń przedchrześcijańskich, okultyzm podszyty Crowleyem (kto z fanów tej muzy nie zna kawałka „Mr. Crowley” Ozzy’ego Osbourne’a?), modne snobizmy w rodzaju kabały i scjentologii dla hollywoodzkich gwiazd, Wicca, przenikanie starowiecznych prądów gnozy do

kasowego kina, satanizm jako eudajmonizm hedonistycznego materializmu, odrzucający „restryktywność" i „antywitalizm" chrześcijańskich norm etycznych, wreszcie satanizm, jako rzeczywisty kult i cześć dla upadłego anioła.

Czasem te nieporządki perwersyjnie się mieszają, niekiedy przeczą własnym tożsamościom, choć równocześnie epatują symbolami, w których motywy odwróconych krzyży i pentagramów ukazują jeśli nie duchowość, to estetykę przekroczenia i przewartościowania tradycyjnego porządku dobra i zła, albo uznania prymatu zła nad dobrem. W przypadku black metalu możemy mówić o programowym zjawisku. Pomijam rzecz jasna kontrapunkt, czyli kompletną niszę – pochodzący ze Skandynawii chrześcijański black metal. Ale gdy czytamy na stronie wydawcy Batushki, WHP, informacje w rodzaju: „Po czterech latach od wydania »Nocturn« z nowym materiałem powraca CHRIST AGONY!", dopełnione wzmianką, że nagrań dokonano w Studio666, to warto zapytać, co kryje się za tak przystrojonym w znaki i treści horyzontem? Jeśli kogoś uspokajają słowa, że to tylko sztafaż, to znaczy, że nic nie wie o tym, jak słowa i symbole kreują świat wyobrażeń społecznych, jak determinują sposoby przeżywania rzeczywistości w jej holistycznym ujęciu.

Bluźnierstwo – czy obraza?

W naszych czasach świecki język, nierzadko język doktryn przetłumaczonych na „katolicyzm po polsku", łagodzi charakter sporów wokół wiary/religii, w tym tego, co odnosi się do zderzenia sacrum i blasfemii. Posługujemy się takimi terminami, jak „chrystofobia" czy nader szerokie określenie „obraza uczuć religijnych", żeby odnieść się do tego, co w nowoczesności skierowane przeciw chrześcijaństwu, katolicyzmowi, ludziom, instytucji, wierze Kościoła. Teoretycznie są to języki, które spełniają swoje zadanie: ostrzegają, informują, tworzą linie demarkacyjne w uniwersum symbolicznym i społecznym. Z tym, że chrystofobia to przecież w swoim „fobicznym" dookreśleniu kalka z licznych języków poprawności politycznej, z ich zwyczajowym „subiektywizmem walczącym", tyle że ze znakiem przeciwnie skierowanym.

> **To fascynujące, że Białystok to równocześnie miasto projektu pokroju Batushka, która redefiniuje prawosławną tożsamość polskiego wschodu w duchu blasfemii i silnych wpływów radykalnego obozu narodowego**

Z kolei w sformułowaniu „obraza uczuć religijnych" brzmią dalekim echem teorie z końca wieku XIX i początku XX stulecia. To koncepcje z pogranicza ówczesnych nauk humanistycznych i protestanckiej teologii. Na gruncie filozofii religii i religioznawstwa jedną z lepiej znanych interpretacji sacrum, pojmowanego właśnie jako nieredukowalne do niczego głębokie i wymykające się racjonalności uczucie (*mysterium tremendum et mysterium fascinans*), przedstawiono w książce „Świętość. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych" Rudolfa Otto.

Określenia w rodzaju „chrystofobia" czy „obraza uczuć religijnych" po części spełniają swoje zadanie. A jednak bez nazwania bluźnierstwa wprost bluźnierstwem, czyli diabolicznym wyzwaniem rzuconym w twarz Bogu Jedynemu w Trójcy – pewne określenia łatwo się rozmywają i nie sięgają sedna rzeczy, a ujęcie problemów traci swoje katolickie „ratio" na rzecz histerycznych niekiedy zawodzeń i skrajnie indywidualnych odczuć.

Ikona i idol

Wróćmy do wcześniejszych rozważań: czy estetyka jest „etycznie/duchowo" obojętna? Oczywiście, to nie piękno zbawia świat (co najwyżej czyni słodszym jego gorycz, jeśli samo nie staje się gorzkie), niemniej „medium is the message" (medium jest przekazem). We współczesnym chrześcijaństwie/katolicyzmie możemy mieć problem z uchwyceniem zjawiska, które da się wyrazić następująco: estetyka liturgii jest także dobrem liturgii. Dlaczego? Ponieważ wiąże ona sprawy ducha i materii w całość, odzwierciedlając tożsamość człowieka i Boga-człowieka oraz wszelkie sprawy, jakie są między nimi. To nie tylko kwestia kultu Bożego, ale pewność wiary, że materia i duch znajdują właściwe dopełnienie w porządku zbawczym, tak skrupulatnie oddanym w ikonopisaniu. Liturgia jest również przestrzenią sakramentów, jest wyrazem ładu w Domu Bożym, choć umyka nam to w czasach, gdy z „oprawy liturgicznej" zrobiono niekiedy „przyjemną muziczkę", służącą wzruszeniom religijnym na poziomie tych, jakie budziły pościelowe songi na dyskotece w podstawówce.

W takim kontekście należy rozmawiać o projektach w rodzaju „Litourgiya". Nie interesują mnie w tym momencie gorące spory w środowisku odbiorców tego typu muzyki, czy Batushka to projekt intrygujący i nowatorski, czy komercyjny banał pod nieco szerszą publiczkę. W takim ujęciu zagadnienia, jakie zaproponowałem, sedno problemu kryje się w tym, co dziennikarz muzyczny Cyprian Łakomy w recenzji albumu nazwał – zapewne bawiąc się konwencją – mariażem „smoły z cerkiewnym ołtarzem". W pewnym stopniu nowością jest przyjęcie prawosławnej liturgii za materiał bluźnierstwa. Ale podobne eksperymenty z prawosławnymi treściami przeprowadzał wcześniej francuski zespół metalowy Deathspell Omega czy hiszpański Teitanblood. Skądinąd to fascynujące, że Białystok to równocześnie miasto projektu pokroju Batushka, która redefiniuje prawosławną tożsamość polskiego wschodu w duchu blasfemii i silnych wpływów radykalnego obozu narodowego. Różne tradycje idolatrii spotykają się jak widać w jednym miejscu, choć pewnie są sobą wzajemnie głęboko zgorszone.

Na okładce „Litourgiya" postaci bez twarzy – wbrew porządkowi ikon – przypominają Maryję z Dzieciącem Jezus. Idąc tropem francuskiego fenomenologa Jean-Luc Mariona: ikona to w znacznej mierze Oblicze, które odsyła ku transcendencji, ku pierwszemu dobru, idol to maska, która zatrzymuje człowieka przy sobie i w sobie, nie pozwala mu iść dalej. Ikona to wolność duchowa, idol to uwięzienie w tym, co niższe od Boga. Także dlatego okładkowe zachwianie porządku wizerunku (w jego przyjętym w wielowiekowej tradycji odniesieniu) jest tak jednoznaczne, choć nie epatuje odwróconymi krzyżami. Zresztą, te są na innych rycinach, choćby świętego z głową ni to psa, ni to szakala – bardziej przypominającego egipskiego boga mumifikacji Anubisa niźli prawosławnych ojczulków.

Jeżeli wspomnieć, że prawosławie czerpie także od Ojców Pustyni, to starożytne bóstwo egipskiej ziemi jawi się jako stary demon, wciąż gotowy kusić wiernych, by zaprzestali Bożej liturgii i oddali się tej, która sprowadza potępienie (egipska ziemia to w tradycji judeochrześcijańskiej właśnie dom niewoli). Rzecz jasna, dla części czytelników takie słowa mogę ocierać się o przesadę. Ale w dziejach ludzkich, zarówno w historii poszczególnych osób, jak i całych narodów, często bywało tak, że mówienie o złu (niezależnie od przypisywanej mu proweniencji) najpierw uchodziło za niestosowność czy nadmiar obaw, a później trzeba było płacić straszną cenę – osobistą i/albo ogólnoludzką. Niech to będzie jasne: nie potępiam, ale fascynację bluźnierstwem warto nazywać po imieniu, wtedy przynajmniej nie urąga się rozumowi, gdy rzeczy nazywa się wprost.

Odwrócona liturgia

Przyjrzyjmy się liturgicznemu wymiarowi prawosławia, by w jego świetle ocenić album Batiuszki. W artykule poświęconym życiu sakramentalnemu prawosławia, zawartym na kartach książki „Prawosławie. Światło wiary i zdrój doświadczenia", pod redakcją K. Leśniewskiego i J. Leśniewskiej, ks. Alciviadis C. Calivas zwraca uwagę, że „każde misterium ma bezpośrednie odniesienie do Chrystusa. Sam Chrystus jest pierwotnym misterium (por. J 1,1–18) i celebransem wszystkich misteriów". Kościół prawosławny używa najczęściej greckiego terminu *mysterion*, zamiast łacińskiego *sacramentum* na określenie rytów ustanowionych przez Boga, które objawiają i przekazują uświęcającą łaskę Bożą. Słowo *mysterion* określa to, co ukryte bądź niepojmowalne. Jednym z nich jest Eucharystia.

Metropolita Sawa (Hrycuniak) w artykule „Eucharystia", opublikowanym w tej samej pracy, przypomina, że w Kościele prawosławnym jest ona przeżywana i pojmowana jako „Boska Liturgia" (gr. *liturgia*), jako wspólne dzieło, akt (gr. *ergon, praksis*) ludu Bożego w Chrystusie. Eucharystia w prawosławiu pojmowana jest nie tyle jako jeden z sakramentów Kościoła, lecz jako misterium pojmowania samego Kościoła, misterium wspólnoty (gr. *synaksis*), misterium jedności Chrystusa i Jego Kościoła, Chrystusa i wierzących — członków Ciała Bogoczłowieka.

> **Starożytne bóstwo egipskiej ziemi jawi się jako stary demon, wciąż gotowy kusić wiernych, by zaprzestali Bożej liturgii i oddali się tej, która sprowadza potępienie**

Poza tym struktura Boskiej Liturgii od samego początku ma charakter trynitarny. Wszystkie modlitwy eucharystyczne zwrócone są do Boga Ojca, od którego wszystko pochodzi, poprzez Syna w Duchu Świętym i ku któremu wszystko się wznosi. Liturgia prawosławna rozpoczyna się słowami: „Błogosławione Królestwo Ojca i Syna i Ducha Świętego". Jest to eucharystyczne obwieszczenie wierzącym Królestwa Trójcy Świętej. Trynitarna Jedność Boga, którą odzwierciedla liturgia, jako akt wspólnoty wiernych, jest zapowiedzią największych eschatologicznych nadziei, które w porządku doczesnym realizują się zaczątkowo. Znamienne są zdania Metropolity: „Celem ekonomii Bożej, czyli zjednoczenia wszystkich i zawsze w Chrystusie oraz

napełnienie wszystkich i wszędzie Duchem Świętym, była i jest zawsze Eucharystia, misterium Kościoła i jego jedności, urzeczywistniane poprzez Ducha Świętego w Chrystusie z Bogiem Ojcem". W tym kontekście anty-Liturgia Batiuszki, która odtwarza śpiewy poszczególnych części Eucharystii, jest parodią i przedrzeźnianiem (blackmetalowy wokal przynosi spory dysonans poznawczy!) głosu ortodoksyjnej, czyli prawosławnej liturgii.

Rzeczpospolita Niewierna

Patrzę na Batiuszkę z perspektywy katolickiej, a przecież bardziej interesujący byłby tekst prawosławnego wyznawcy na jej temat. „Liturgia" to znakomita ścieżka muzyczna do lektury „Najkrótszego słownika sekt i herezji Kościoła Wschodniego" Jana Gondowicza („Literatura Na Świecie" 1989, nr 4[213]). Możemy dowiedzieć się z niego, że dusiciele, odłam sekty filipowców, dusili małe dzieci, „by umarły w 9chwale". Albo że jeden z Wyznawców Ducha Świętego „połknął Ducha Świętego z nadmiarem, i w ciągu pół godziny w ciężkich cierpieniach zmarł". Dowiemy się stamtąd również, że Biali (postnicy) przyjęli pięć zasad Lwa Tołstoja: wegetarianizm, pacyfizm, równość majątkową, służbę jedynie Bogu oraz „powstrzymywanie się od stosunków z kobietami dla szybszego wygubienia rodzaju ludzkiego". Dowiemy się wreszcie, że skopcy, postmanichejska XVIII-wieczna sekta, dokonywali „wybielenia", czyli kastracji, dla wyrugowania zła. A ich radykalny odłam, Lichaczowcy, uważali, że ciało należy zniszczyć jak najszybciej, popełniając samobójstwo. W ten sposób uciekali ze świata, który uznawali za dzieło diabła. Uznawali też, że „wzorem dla ludzi winien być najkonsekwentniejszy chrześcijanin, Judasz, który zgrzeszywszy, natychmiast powiesił się".

Oczywiście, pojawia się pytanie, na ile faktycznie w prawosławiu osadzeni są ludzie stojący za albumem „Liturgia", z całą pewnością to rodzima produkcja. Pod koniec września 2016 roku pod przewodnictwem Behemotha rusza w Polskę trasa koncertowa „Rzeczpospolita Niewierna". Oprócz kapeli Nergala zagra Batushka oraz szwajcarski Bölzer. Do myślenia daje krótka notka na internetowej stronie Encyclopaedia Metallum (http://www.metal-archives.com/). Pod hasłem Bölzer w podpunkcie „lyrical themes" (tematyka utworów) zapisano: „Occultism, Death, Rituals, Paganism, Duality". A zatem: okultyzm, śmierć, rytuały, pogaństwo, dualizm (najpewniej okołognostycki). Jest to niemal zabawne: istnieje dziś w Polsce wcale pokaźna grupa ludzi wierzących, a przy tym pozostających, zdaje się, w pełni władzy umysłowych, która udaje, że tego typu fascynacje to „jasełka". Tymczasem, jak widać, „Rzeczpospolita Niewierna" znaczy coś bardzo konkretnego, co ma swój ciężar gatunkowy, znakomicie wyrażony słowami: *Peccatum lex est*.

Jeszcze jedna sprawa: widać wcale dobrze, jak kwestie tożsamościowe, odnoszące się w pewien sposób do polskości czy patriotyzmu, przeniknęły również w tak dziwne okolice. Wszak „Rzeczpospolita Niewierna" to nieledwie wyznanie alternatywnej wersji polskości: radykalnie postchrześcijańskiej, która znakomicie odnajduje się w popkulturze już nie tak niszowej, jak mogłoby się wydawać jakiś czas temu. Nergal dzięki współpracy z medialnym mainstreamem jest „apostołem" blasfemii. Jak się okazuje, także we współpracy z Ojczulkiem i jego „Liturgią", na tyle komercyjną, by przyciągnąć słuchaczy spoza „ortodoksyjnych" kręgów blackmetalowych. Bluźniercy będą bluźnić. Takie będą teraz Rzeczpospolite?

„NK" w potrzebie!

„Nowa Konfederacja" znalazła się w trudnej sytuacji finansowej, w związku z utratą kilku Darczyńców. W marcu stałe przychody miesięcznika wyniosły 6 260 zł. Aby przetrwać, potrzebuje on 8 494 zł miesięcznie.

Koszty działalności „NK" obejmują wynagrodzenia za: artykuły, redakcję, korektę, grafikę, księgowość, obsługę informatyczną, skład.

Jeśli cenisz „NK" – wesprzyj ją!

Podstawą istnienia miesięcznika są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji", Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna". Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna".

Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z sześciu powodów:

1. „NK" jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu**. Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski.
2. **Dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele**: poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji.
3. Począwszy od października 2013 r., **udaje nam się regularnie publikować kolejne numery „NK", poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie**, jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży.
4. **Mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas 15–20 tys. osób miesięcznie, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze artykuły są chętnie przedrukowywane przez popularne portale.
5. Wsparcie „NK" to także **wsparcie młodego – prawdziwie niezależnego i mającego odwagę płynąć pod prąd – ośrodka i środowiska intelektualnego**, niepoddającego się wszechobecnemu marazmowi i starającego się powoli budować lepszą Polskę.
6. **Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce** (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja" to pierwszy w Polsce internetowy miesięcznik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK" to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne" – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika/miesięcznika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Niemniej w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja" – ma je przybliżać.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację" tworzą

Stali Darczyńcy:
Stu Dwudziestu Sześciu Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia", Jakub Stychno, Skryta Opcja Sarmacka, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński

Pozostali Darczyńcy:
Stu Osiemdziesięciu Czterech Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski
(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:
Anna Kiljan (sekretarz), Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Stefan Sękowski, Piotr Trudnowski.

Redaktorzy prowadzący: Bartłomiej Radziejewski, Anna Kiljan

Stali współpracownicy:
Jacek Bartosiak, Michał Beim, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Krzysztof Rak, Zbigniew Stawrowski, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke, Michał Lubina

Grafika (okładki): Kinga Promińska

Korekta i redakcja stylistyczna: Sylwia Pikula

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):
Fundacja Nowa Rzeczpospolita
Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa